№ 23 Warszawa, dnia 23 Maja (4 Czerwca) roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50 —w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Don Pedro Calderon de la Barca.

Przez **S. z Ż. Duchińską.**

Przed rokiem Lizbona obchodziła trzechsetletnią rocznicę skonu Camoensa; w tym roku Madryt powołał ze wszystkich stron świata miłośników poezyi, aby uczcić godnie dwóchsetletnią rocznicę śmierci Calderona, najsłynniejszego z dramaturgów hiszpańskich.

Jeśli dwaj wielcy jubilaci, zbliżeni do siebie potęgą geniuszu, świecą dziś jak dwie jasne gwiazdy nad Iberyjskim półwyspem, życie ich przecież najmniejszego nie przedstawia zbliżenia. Dni Camoensa były pasmem najtwardszych prób, najburzliwszych kolei; w młodych latach, trawiony miłością której wyznać nie śmiał przed tą nawet co była jej przedmiotem, wygnany ze stolicy, następnie z kraju, błąkał się po dalekich morzach lub jęczał za kratą więzienną. W późnym wieku wróciwszy do ojczyzny, obcym był między swymi, żył w nędzy, umarł w opuszczeniu. Życie Calderona przeciwnie, snuło się jakby kwiecistym wieńcem, wolne od zawodów i wstrząśnień. Ulubieniec trzech królów, dorodną postawą pociągał ku sobie oczy wszystkich, dobrocią i słodyczą niewolił wszystkie serca. Zawiść nie zmroziła wawrzynów na młodem jego czole; wiek męzki przeżył wśród hołdów i oklasków, u schyłku dni jako kapłan, pozyskał cześć powszechną; umarł z piórem w ręku, z łabędzią pieśnią na ustach; w puściznie drogiej ojczyźnie przekazał promień swej niepożytej chwały.

Życiorys Calderona, jak wszystkich ludzi szczęśliwych, bardzo krótki, zamyka się w kilku zaledwie słowach. Urodzony w Madrycie w 1600 r., syn zamożnej rodziny, troskliwe odebrał wychowanie. Ze szkół jezuickich udał się do Salamanki na naukę prawa, teologii i filozofii. Powraca wreszcie do Madrytu, bierze udział w konkursie na cześć św. Izydora, prostego oracza, zwieńczonego aureolą świętych. Odbiera publiczne pochwały Lope de Vegi, najsłynniejszego z ówczesnych poetów. Korony bluszczowe sypią się na czoło dwudziestoletniego młodziana. Madryt przyklasnął mu gorąco, bo i on z zapałem wysławił grod ojczysty; przytaczamy tu jedną zwrotkę:

Chwała tobie o Madrycie,
Czem przed tobą wszystkie miasta?
Buchające z ciebie życie,
Swoją siłą śmierć przerasta.
Na praw Bożych czuwasz straży,
Z berłem strzechę równasz kmiecą,
Twe oracze jaśniej świecą,
Niż blask tronu twych mocarzy.

Po tych tryumfach młody poeta, znika nagle z widnokręgu, przez lat dziesięć nie słychać o nim wcale, później dowiedziano się że walczył w Lombardyi, następnie we Flandryi szarpanej wojną domową. Przygody życia obozowego wielce mu posłużyły; wystawiony na ciągłe starcie z ludźmi, zbadał charaktery, wniknął do głębi w tajniki serc, słowem skąpał się w rzeczywistem życiu, co silnie odpiętnowało się później w jego dramatycznych utworach.

Trzydziestoletni autor nagle występuje znów na widownię, zdobywa na konkursach nowe wawrzyny, liryczne jego pieśni przebiegają z rąk do rąk; jego komedye i misterya religijne ściągają mu poklaski tłumów. Śmierć Lope de Vegi w r. 1635 otwiera mu szeroki widnokrąg, czyni go wyłącznym panem teatru. Filip IV obsypuje go dostatkami, za przykładem króla i dworu cały Madryt składa mu wieńce.

W sześćdziesiątym czwartym roku życia Calderon przyjmuje namaszczenie kapłańskie. W ciągu ostatnich lat piętnastu pełni z godnością przyjęte obowiązki; słodyczą zniewala sobie serca, późny wiek nie zagasił w nim iskry twórczej, nie ostudził bujnej wyobraźni; wielkie miasto Madryt, Sewilla, Grenada, Toledo żądają od niego coraz nowych mysteryów, przedstawiają te utwory podczas uroczystości religijnych przy napływie licznego tłumu.

Krzepki starzec umarł 25 maja 1681: nazajutrz po skonie chowano go skromnie w kościele San Salvador, czyniąc w tem zadość ostatniej jego woli. Ale wkrótce potem miasto wyprawiło mu najświetniejszy pogrzeb i wspaniałym uczciło go pomnikiem.

Liczne portrety Calderona twierdzą o niepospolitej piękności jego oblicza: zachował ją do lat najpóźniejszych. Czas nadał rysom jego cechę wielkiej powagi, piękna dusza odbijała w nich jak w zwierciadle.

Dzieła słynnego poety, oprócz wielkiego zbioru sonetów, canzonet i innych lirycznych pieśni, oprócz poważnych rozpraw akademickich, składają się z siedmdziesięciu trzech mysteryów, ze stu ośmiu dramatów i komedyi. Za życia jeszcze autora rozbiegło się mnóstwo sztuk pod jego nazwiskiem tak po Hiszpanii, jak po amerykańskich posiadłościach. Zniecierpliwiony tem, spisał dokładną listę własnych utworów, odtrącając wielką część przypisywanych mu ramot.

We wszystkich dziełach swoich był on najżywotniejszem odbiciem ducha hiszpańskiego. Jeśli do historycznych dramatów wprowadza niekiedy postacie fantastyczne, jeśli dziejowe zdarzenia nagręca czasami według woli, wszystkie przecież typy jego są czysto narodowe, we wszystkich kipi krew hiszpańska, szlachetna i burzliwa zarazem, pohopna zarówno do okrucieństw i zbrodni, jak do szczytnych cnót i najwyższych ofiar.

Najwybitniejszy charakter noszą jego *Mysterya* owe *Autos Sacramentos*, pełne cudowności i żaru, żywcem wyrwane z serca ludu hiszpańskiego, od nich też rozpoczniemy sprawozdanie nasze. Odgrywano je pod gołem niebem, w wielkich miastach, w dniu Bożego Ciała po uroczystem nabożeństwie. Aktorowie w kostiumach brali udział w porannej procesyi. Wśród podwójnego rzędu

kamienic i pałaców, strojnych w kwiaty, kobierce i jedwabne makaty, posuwał się wspaniały orszak. Otwierał go olbrzymi potwór, zwany *Taraska*, z kadłubem węża, głową niewiasty babilońskiej, toczony przez czterech ludzi, ukrytych w jego wnętrzu. Za nim biegła w pląsach gromada dziatek w wieńcach z kwiatów na głowie. Dalej dwa olbrzymie manekiny wyobrażające Maurów, wyprawiały dziwaczne skoki. Następnie sunęło liczne duchowieństwo, śpiewając pieśń pobożną z przygrywką kapeli kościelnej. Baldachim nieśli pierwsi dostojnicy państwa.

Za baldachimem szedł król ze świecą w ręku, otoczony wspaniałym dworem; potem ciągnęły nieprzeliczone tłumy. Zamykały wreszcie pochód ogromne wozy pełne zamaskowanych aktorów, strojnych stosownie do roli jaka przypaść miała. Widowisko odbywało się przed wieczorem na jednym z placów miejskich, w obecności króla i dworu. Widzowie przyglądali się z estrady, lub z balkonów i okien.

Przedmioty do tych mysteryów brane były zwykle z Pisma Świętego, albo też z miejscowej legendy. Calderon umiał w dziwny sposób urozmaicić je potęgą geniuszu swego, mieszając do nich zdarzenia historyczne, a niekiedy nawet mythologiczne symbola, przeplatając je patryotycznemi pieśniami.

Do najpoetyczniejszych utworów jego w tym rodzaju należy mysteryum pod tytułem *El divino Orfeo.*

Po skończonym prologu wtacza się na scenę ogromny czarny wóz, w kształcie łodzi. Jest w nim *książę ciemności*, przebrany za korsarza. Wiosłem porusza *Zawiść*. Oboje żeglowali długo wśród chaosu, słyszą z daleka harmonijną muzykę, dźwięki jej dobiegają z innego wozu, toczącego się od strony przeciwnej. Ma on kształt sfery niebieskiej, pokrytem znakami planet i konstellacyi. Na wozie stoi Orfeusz, wyobrażający w Allegoryi stworzenie świata. Za tym wozem sunie trzeci przedstawiający kulę ziemską. Spoczywa na nim symboliczna postać *Natury ludzkiej*, w koło niej *siedm dni tygodnia*, pogrążone w śnie twardym.

Orfeusz bierze lirę i rozpoczyna dzieło stworzenia. Przemawia on słowy Pisma Świętego. W miarę jak się przybliża, zbudzone *dnie* powstają kolejno z wezgłowia, stają pokornie przed nim. Każdy *dzień* przybrany symbolicznie, nosi znaki stworzonych w nim jestestw. Powołana w końcu *Natura ludzka* zjawia się w postaci pięknej niewiasty. *Radość* zamieszkuje z nią w Raju, w uniesieniu szczęścia śpiewa hymn na chwałę Stwórcy.

Następuje pokusa i upadek. Wówczas *Dnie* dotąd nieodstępne towarzyszki *Natury ludzkiej*, które ścieżki jej posypywały kwiatem, znikają po jednemu. *Natura* zostaje sama, wystawiona na ciężkie próby Wyrzut szarpie jej serce. Aby uciec od winy własnej siada na łódkę zapomnienia. Książę ciemności, który przywiódł ją do złego, pewien już tryumfu, pogląda na nią rozpromienionem okiem, gdy nagle ukazuje się Orfeusz. Trzyma w ręku harfę w kształcie krzyża, zawodzi hymn żałosny, płacze na upadłą *Naturą.*

Ukrzepiony pieśnią, przy huku piorunów i świetle błyskawic wdziera się do królestwa ciemności, druzgocze zawody, wyswobadza *Naturę ludzką*, niesie ją na czwarty wóz w kształcie okrętu, sadza przy niej odkupione również *Dni tygodnia*. Okręt rozwija żagle, płynie wspaniale przy poklaskach aktorów i tłumnej rzeszy.

Inne Mysteryum: *El Purgatorio de San Patrick*, należy także do najznakomitszych utworów Calderona. Dramat rozpoczyna się od rozbicia okrętu na wybrzeżach irlandzkich. Morze wyrzuca dwóch rozbitków: są nimi Ś-ty Patryck i poganin Hiszpan Enio. Występuje na scenę król wyspy, okrutny bezbożnik, zacięty wróg chrześciaństwa. Ten rozkazuje pochwycić Patrycka i okutego w więzy uprowadzić w głąb kraju. Święty pozostał sam; modli się gorąco, i oto zbiega ku niemu anioł, oznajmia wolę nieba: on ma nawrócić na wiarę swych ciemiężców.

Między pierwszym a drugim aktem ubiegło lat trzy. Święty Patryck tymczasem odwiedził Rzym zkąd powraca do Irlandyi, aby dokonać powierzonego mu dzieła. W obecności królewskiej spełnia rozliczne cuda, wskrzesza umarłego, lecz królowi nie dosyć na tem. Dopóty on nie uwierzy w piekło, w raj, ani w czyściec, dopóki naoczny a zaufany świadek, nie powtórzy mu co sam widział i słyszał. Swięty Patryck znajduje na to sposób: Bóg nie odmówi nic słudze swemu. Przez ciemną pieczarę Enio spuszcza się w głąb piekła, widzi tam straszliwe tajemnice, wszystko co ujrzał opowiada malowniczo za powrotem: Nawraca okrutnego króla i dwór zagrzęzły w nieprawości.

Inne znów mysteryum, wysnute z tejże samej legendy z której Goete utworzył Fausta. Bohaterem jego poganin Cypryan, uczony retor z Antyochii.

Podczas gdy miasto wyprawia igrzyska na cześć Jowisza, Cypryan rozmyśla samotnie, prawda ma już zabłysnąć jego oczom, kiedy nagle ukazuje się szatan, w postaci ucznia wszechnicy, zabłąkanego w drodze. Obaj toczą dysputę. Cypryan odniósł tryumf, lecz zły duch otumanił jego serce, zaprawił je trwogą i zwątpieniem.

Ale szatański wpływ zażegnany wkrótce wpływem niewinnej dziewicy. Justyna, młoda chrześcianka, nawraca zakochanego w niej retora. Oboje skazani na śmierć męczeńską. Ledwie że krew ich popłynęła pod mieczem, ukazuje się szatan na strasznym smoku. Oznajmia obecnym, że Cypryan i Justyna żyją pełni szczęścia, zgotowanego męczennikom, ce krew wytoczyli za wiarę.

Z pomiędzy wszystkich, najgłębiej poruszało serca i umysły Hiszpanów mysteryum pod tytułem: *La devotion de la Cruz* (Miłość krzyża). Bohaterem dramatu jest Euzebi, człowiek rozpasany na wszelkie zbrodnie. Bóg nie opuszcza go przecież, gdyż zbrodniarz w ciągu życia całego okazywał zawsze cześć dla krzyża. Co tego powodem, niechże on sam opowie:

Kto mi ojcem, kto mi matką?
Próżno pytasz!... nie wiem wcale!
Dziwną życie me zagadką;
Jam zrodzony tam, na skale,
Z której szczytu krzyż wyrasta.
Nie karmiła mnie niewiasta,
Kamień moją był kołyską,
Przekwiliłem trzy dni całe,
Trzy dni krążą wilcy blizko,
Lecz mijają dziecię małe.
Niedźwiedź do mnie się nie zbliża,
Bom urodzon u stóp krzyża,
Aż pastuszek zapędzony
Za owieczką w te jarugi,
Z ziemi podjął mnie ramiony,
Niańczył, karmił przez czas długi,
Euzebim zwał mnie słodko, —
Już go dawno ziemia gniecie,
Jam pozostał znów sierotką,
Wicher miotał mną po świecie.

Euzebi został hersztem zbójców. Zaczajony wśród gór kastylskich, odziera i morduje przechodniów, zaściela ziemię trupami, ale grzebie je zawsze i nad każdą mogiłą zatyka mały krzyżyk. Dnia jednego idzie wąwozem kapłan: kula wymierzona w pierś podróżnego, utkwiła w książce, której on sam był autorem. To historya cudów, spełnionych siłą krzyża.

Euzebi puszcza go z życiem, zabiera tylko księgę. Wkrótce potem miecz sprawiedliwości dosięgnął zbrodniarza, ugodzony śmiertelnie wzywa kapłana, pragnie wyspowiadać przed nim ciężkie winy, ojciec Albert, autor księgi, ostrzeżony w cudowny sposób, przybywa spiesznie z Rzymu.

Zapóźno już, niestety! żołnierze pochowali zbójcę, na straży u grobu postawili wieśniaka Gilberta. Noc zapada, wąwozem nadchodzi podróżny.

ALBERT.

Idę z Rzymu... ciemność wszędzie,
Tonie w nocnym świat pomroku,
W okół sterczą skał krawędzie,
Nie postąpić dalej kroku.
W tym wąwozie zbój straszliwy
Wstrzymał topór nad mą głową,
Dziś-że ujdę z miejsc tych żywy?

UMARŁY (*z pod ziemi).*

Chodź Albercie!

ALBERT.

Kto mnie woła?
Jakże głos ten brzmi grobowo!

UMARŁY.

Chodź Albercie!

ALBEBT.

Z mego czoła
Pot wytryska... drżą mi nogi...
Kto mnie woła?

GILBERT.

Boże drogi!
To Euzebi! tchu nie schwycę!

UMARŁY.

Chodź Albercie.

ALBERT.

Głos się zbliża,
Muszę zbadać tajemnicę.

UMARŁY.

Jam Euzebi. W imię krzyża,
Chodź Albercie, wzywam ciebie,
Twoja ręka niech odgrzebie
Bryłę ziemi, co mnie więzi,
Niech odwali stos gałęzi.
Czy się trwożysz?

ALBERT.

Nie, nie trwożę!

GILBERT.

Ja drzę cały!...

ALBERT (*odwalając gałęzie).*

Ot... i ciało,
Mów Euzebi, w Imię Boże,
Czego żądasz? wyznaj śmiało

UMARŁY.

Tobie serce odkryć muszę,
Obmyj z grzechów biedną duszę,
Jam umarły, alež ona
Jeszcze z trupem połączona.
Chcę ci wyznać moje winy,
Ile ziarnek liczą piasku

Niezmierzone mórz głębiny,
Ile pyłków w słońca blasku,
Tyle grzechów, istnych węży,
Na sumieniu mojem ciąży.

GILBERT.

Co ja widzę? Boże miły!
Trup z otwartej wstał mogiły,
Zorza niebo już rumieni,
W jasny dzionek noc się mieni!

Promień słońca pada na czoło umarłego, który klęcząc przed kapłanem spowiada swoje grzechy. Tłum ludu napełnia cały wąwóz. W chwili gdy kapłan skreślił krzyż nad czołem pokutnika, trup upada na ziemię.

W czasach budzącego się romantyzmu, Schlegel przetłumaczył ten utwór cudnym wierszem na język niemiecki, uznając w nim najpiękniejszy kwiat z korony poetycznej Calderona. Zdaniem krytyków, wątek cały stworzony był wyobraźnią poety; nic bowiem podobnego nie znaleźli, w starych legendach. Nam się przecież zdaje, że klechda nasza o zbrodniarzu Madeju bardzo blisko spokrewniona z pomysłem poety hiszpańskiego.

(D. n.)

SONET.

(Do A. S.)

Urocze sny o różach, to dziecinne baśnie,
Kwiat złudzeń z każdą chwilą woń i barwę traci,
Ja jednak pragnęłabym w sercach ludzi-braci,
Rozdmuchać iskrę uczuć, co stygnie i gaśnie.

Choć proza i materya królują dziś wszędzie,
Ciało wszechwładnym panem, a dusza w niewoli,
Ja jednak ufam, wierzę, że tej ludzkiej doli
Zaświeci lepsza przyszłość, i jaśniej nam będzie.

Ale kto świat obrzuca ironią, pogardą,
Zaszczepia w bratniem sercu niewiary nasienie,
Patrzy w niebo nieufnie, a na ludzi hardo,
O! ten podwaja swoje i bliźnich cierpienie:
Bo dola wtedy nasza prawdziwie jest twardą,
Gdy w ustach mamy skargę, a w sercu zwątpienie.

Emilia.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

Swiadkowie przybiegli do majora, ten choć zbladł bardzo, jednakże uprzejmie pozdrowił przeciwnika, mówiąc doń z uśmiechem:

— Dziękuję panu; pierwszym razem mogłeś przebić mnie na wylot, poprzestałeś na przebiciu koszuli; drugim, mogłeś zadać mi ranę śmiertelną, a zadrasnąłeś mnie tylko; trzeci raz nakoniec mogłeś zabić mnie lub odciąć rękę, a skończyło się na jej zranieniu. Teraz więc, aby do końca szlachetnie postąpić ze mną, powiedz proszę, co miałeś za powód, aby mnie tak oszczędzać?

— Panie majorze, odrzekł z uśmiechem Benedykt, będąc u pana Felnera, burmistrza Frankfurtu, zostałem przedstawiony ślicznej, pełnej niewysłowionego powabu kobiecie, bardzo kochającej swego męża — powiedziano mi, że jest to baronowa von Below. Odebrawszy wizytowy bilet pana, przypomniałem ją sobie i pomyślałem, że może jest jego krewną, a choć takiej ślicznej osobie i w żałobie bardzo być może do twarzy, nie chciałem aby z mojej przyczyny przywdziewała ten smutny ubiór.

Major spojrzał na niego, i choć po żołniersku umiał panować nad sobą, jednakże łzy zabłysły w jego oczach.

— Pani von Below jest moją żoną, odpowiedział, i bądz pan pewnym, że gdziekolwiek ją spotkasz, ukłon jej wyraźnie mówić ci będzie: „Mąż mój najniedorzeczniej szukał sprzeczki z tobą; oszczędziłeś go przez wzgląd na mnie, niech cię Bóg błogosławi", i poda ci rękę z takiem uczuciem wdzięczności, jak ja w tej chwili... A uśmiechając się, dodał: przebacz pan, że podaję ci lewą rękę, ale to twoja wina, że nie mogę podać prawej.

Chirurg zbliżył się, aby opatrzyć rękę majora; oderwał rękaw od koszuli i ukazała się długa, choć nie głęboka, ale przerażająca rana. Umaczał serwetę w zimnej wodzie poblizkiego strumienia, obwinął ramię, bandażami ściskając jej otwór. Gdyby zamiast lekko pociągnąć ostrzem, Benedykt był silnie uderzył szpadą, co mógł był zrobić, major straciłby rękę. Po opatrzeniu chirurg uspokoił obecnych, upewniając zarazem majora, że może wieczorem odjechać, byle za przybyciem do Frankfurtu przyzwał doktora dla zmienienia opatrunku. Benedykt ofiarował mu swój powóz, ale major podziękował pod pozorem, że grzeczność nakazuje mu czekać na pana Kleista, a w rzeczywistości chciał być świadkiem końca całej sprawy. Wymawiał się tem, że grzeczność nakazuje mu czekać na razem z nim przybyłego pana Kleista.

Jakkolwiek pan Jerzy Kleist poznawszy z poprzedniego pojedynku, z kim ma do czynienia, pragnąłby być o jakie dwadzieścia mil dalej, nadrabiał jednak miną, i choć zbladł bardzo podczas walki Benedykta z majorem, a więcej jeszcze podczas opatrywania ostatniego, rzekł jednak zupełnie spokojnie na pozór:

— Panowie, teraz na mnie kolej.

— Jestem na rozkazy pana, odpowiedział Benedykt.

— Nie jesteś pan ubrany odpowiednio do pojedynku na pistolety, rzekł pułkownik Anderson, przyglądając się ubraniu Benedykta.

— Doprawdy nie myślałem jaką bronią mam się pojedynkować, ale o tem żeby mi było wygodnie, odrzekł Benedykt.

— To przynajmniej zapnij się pod szyję.

— A! kiedy tak gorąco.

— Trzeba było pierwej odbyć pojedynek na pistolety; długie robienie szpadą musiało bardzo zmęczyć rękę.

— O! kochany pułkowniku, ręka moja wie, że musi słuchać mnie jak niewolnica — i przekonasz się, że spełni swój obowiązek.

— Czy chcesz pan zobaczyć pistolety któremi masz się strzelać?

— Wszak widziałeś je, pułkowniku?

— Tak.

— Jakież są?

— Zwykłe pistolety pojedynkowe, wynajęte dziś rano u puszkarza, w sklepie przy Wielkim Placu.

— Chciej tylko, pułkowniku, wraz z drugim moim świadkiem być obecnym przy nabijaniu, żeby czasem kule nie obsunęły się na bok.

W tejże chwili zbliżyli się dwaj oficerowie pruscy, mówiąc:

— Panie pułkowniku, racz przyjąć udział w nabijaniu broni.

— Służę panom.

— Ale jakżeż to będzie, zawołał pułkownik, pan Kleist będzie mieć jednego tylko świadka?

— Niech więc obaj panowie oficerowie zostaną świadkami pana Kleist'a, rzekł major, ja będę drugim świadkiem pana Benedykta.

Ponieważ był już opatrzony, poszedł usiąść na pobliskiej skale.

— Serdecznie panu dziękuję, rzekł Benedykt, odtąd do śmierci pozostaniemy przyjaciołmi.

Przez ten czas nabijano pistolety; pułkownik Anderson sam włożył kule. Benedykt zbliżył się do majora.

— Czy zamierzasz go pan zabić? zapytał poważnie major.

— Któż to wie; kule nie żartują, inna rzecz z bronią białą.

— Pewnie potrafisz pan, jeźli chcesz, skaleczyć nie raniąc śmiertelnie?

— Nie mogę przecież chybić go zupełnie, chełpiłby się i rozpowiadał, że nie umiem strzelać.

— No, to już widzę, iż masz pan jakiś zamiar.

Tymczasem świadkowie odmierzali kroki. Odmierzywszy 45, pułkownik z każdej strony mety odmierzył znów po piętnaście, na znak, że przekroczyć ich niewolno, położył na oznaczonych miejscach pochwy od szpad, a w punktach wyjścia zatknął w ziemię szpady.

— Panowie, na swoje miejsca! zawołali świadkowie.

Franc Müller z jak najżywszem zaciekawieniem przyglądał się wszystkim tym przygotowaniom. Po raz pierwszy widział dwóch ludzi narażających życie w zobopólnej walce, i mimowolnie podziwiał tego co je narażał tak swobodnie i z uśmiechem. A był nim właśnie Benedykt, ów znienawidzony Francuz i zarazem jego przeciwnik. To też jednocześnie podziwiał go i nie cierpiał. Podziw ten zolbrzymiał jeszcze, skoro zobaczył iż gdy pan Jerzy Kleist wybrał pistolet, a pułkownik zaniósł drugi Benedyktowi, rozmawiającemu z majorem, ten wziął go i nie spojrzawszy nawet stanął na swojem stanowisku.

Przeciwnicy stanęli na dwóch krańcach naznaczonej mety.

— Panowie, rzekł wtedy pułkownik Anderson, stoicie o 45 kroków od siebie; każdemu z was służy prawo albo strzelać z miejsca, albo postąpiwszy piętnaście kroków naprzód. I dla tego nie będziem dawać znaku wystrzału; pan Kleist ma pierszy strzał i może strzelać dowolnie na oznaczonej mecie. Nadto wolno panu Kleist wystrzelonym pistoletem zasłonić część ciała którą mu się podoba — ma się rozumieć że też same prawa przysługują panu Benedyktowi. Zaczynajcie panowie!

Natychmiast obaj przeciwnicy postąpili ku sobie; doszedłszy do mety, Benedykt zamiast się zasłonić, stał skrzyżowawszy ręce. Lekki wietrzyk poruszał jego włosy i unosił nieco niezapiętą na piersiach koszulę. Szedł do mety zwykłym krokiem.

Pan Kleist, ubrany czarno, zapięty pod szyję; z gołą głową postępował krok za krokiem, doszedłszy do mety stanął:

— Jesteś pan gotów? zapytał.

— Tak, panie.

— Nie zasłaniasz się pan?

— Nie mam tego zwyczaju.

Wtedy Kleist zwolna podniósł pistolet, celował chwilę i strzelił.

Benedykt usłyszał lekki świst koło ucha i uczuł jakby muśnięcie po włosach; kula przeszła o pięć centymetrów od jego głowy.

Pan Kleist w tejże chwili podniósł trzymany pistolet i zasłonił nim twarz, ale niezależnie od woli, ręka mu drżała trochę.

— Panie, rzekł Benedykt, byłeś tak uprzejmym, że wbrew zwyczajowi, już z bronią w ręku przemówiłeś do mnie, zalecając abym się zasłonił, czy pozwolisz abym i ja z kolei udzielił mu pewnej rady, czyli raczej wypowiedział pewną prośbę?

— Jaką? odrzekł dziennikarz zawsze zasłaniając się pistoletem.

— Aby ręka pana nie drżała, bo porusza pistolet. Chciałbym aby kula moja utkwiła w kolbie pistoletu pana, co trudnem będzie jeźli tenże drgać będzie; wtedy najzupełniej mimowolnie mógłbym ugodzić pana w policzek lub niższą część głowy. Jeźli zaś trzymać pan będziesz pewną ręką — ot tak jak w tej chwili...

I prędko podnosząc pistolet — wystrzelił.

— Otóż już po operacyi! zawołał.

Ruch ręki poprzedzający wystrzał był tak nagłym, iż można było mniemać; że Benedykt nie celował. Jednakże w tejże chwili gdy wystrzał się rozległ, broń którą zasłaniał się pan Kleist rozprysnęła się w kawałki, a trzymający ją zachwiał się i upadł na jedno kolano.

— Ah! zabiłeś go pan zawołał major.

— Nie zdaje mi się, odrzekł Benedykt, celowałem między cyngle, zapewnie upadł skutkiem silnego uderzenia.

Chirurg i dwóch świadków pobiegli do ranionego; kolba pistoletu pozostała w jego ręku. Silna kontuzya rozciągała się na twarzy, od oka do szczęki. Było to jak powiedział Benedykt odbicie kuli, która bynajmniej nie dotknęła policzka. Lufa pistoletu odleciała w jedną, dekiel w drugą stronę; kula utkwiła w oznaczonem przez Benedykta miejscu. Gdyby w tem miejscu ugodziła w głowę, dziennikarz byłby pozostał na miejscu.

Opatrunek był nietrudny. Kontuzya była bardzo silna, ale krew płynęła tylko z dwóch miejsc w których skóra była przedarta. Chirurg uznał, że na tak lekką ranę dość przyłożyć chustkę zmaczaną w wodzie poblizkiego źródła.

Franc Müller przyglądał się temu pojedynkowi z większem jeszcze niż pierwszemu zajęciem; widząc że skończył się tryumfem wroga jego kraju, dotknięta duma narodowa spotęgowała jeszcze jego złość i niechęć do Francuza. Z ust jego sypały się najstraszniejsze przekleństwa, najbrutalniejsze groźby; piana wydobywała się przez zaciśnięte zęby. Machał rękami w powietrzu, jak gdyby wymierzajac razy niewidzialnemu nieprzyjacielowi, którego następnie obalał i deptał nogami.

Stał odosobniony na uboczu, ale te nieustanne ruchy i groźby zwróciły na niego uwagę nietylko sekundantów, ale i rannych nawet.

— Przecież nie myślisz pan bić się z tem bydlęciem! rzekł pułkownik Anderson.

— I owszem, nie mogę odmówić, odpowiedział Benedykt.

— Cóż znowu! bić się na pięści!... pfe!...

— A! kochany pułkowniku, przecież w dawnych czasach nie znano innych.

— Ależ zastanów się pan, że szpada przecina, kula przebija ciało, pięść przeciwnie szarpie, kaleczy, zostawia sińce i guzy, słowem oszpeca przeraźliwie, i miałżebyś jak jaki tragarz tarzać się po ziemi z takim szubrawcem!... Na twojem miejscu, kochany panie, wolałbym go przeprosić.

— Wolę włożyć rękawiczki, aby nie dotknąć go się gołą ręką, odpowiedział Benedykt.

I wyjąwszy z kieszeni parę nowych jasnych rękawiczek, zaczął wkładać je na ręce i zapinać tak starannie, jakby sekretarz ambasady na bal do ministra. Poczem zbliżył się do mahającego rękami robotnika, i dotykając palcem jego ramienia, rzekł:

— Na ciebie kolej, kochanku.

— Och! w rękawiczkach! w rękawiczkach! zawołał tenże, — czekaj sprawię ja ci rękawiczki!...

I jak rozwścieczony dzik rzucił się na Benedykta.

— No, pomyślał sobie Benedykt uśmiechając się, powinienem teraz przypomnieć sobie iż przyszedłem na świat przy ulicy Mouffetard.

I stanął w obronnej postawie ulicznika paryzkiego gotującego się do walki, w postawie tak zarazem groźnej i zręcznej, iż przypomina lamparta lub panterę, która w pół leżąc gotuje się rzucić na swoją zdobycz.

Nie znając ani arystokratycznej sztuki boksowania, ani zasad demokratycznej walki na pięście, Franc Müller do tego tylko zmierzał, aby pochwycić w pół Benedykta, obalić i skopać nogami, jak przed chwilą urojonego przeciwnika. Wysmukła i niewysoka postawa Benedykta nie zapowiadała mu zbyt groźnego przeciwnika, śmiało więc wyzywał go do walki. Lecz choć Benedykt tak ufał swej sile i zręczności, iż nie cofnąłby się przed walką choćby z najsilniejszym zapaśnikiem, jednakże i tym razem ułożył sobie plan od którego odstąpić nie myślał. Jeźli nie obejdzię się bez walki, odkładał ją na koniec, gdy niepotrzebny gniew wyczerpie siły przeciwnika. Tak wytrawnemu gimnastykowi łatwo było unikać razów i nie dać się ująć przeciwnikowi — poprzestawał też na tem.

Franc coraz zapaleńszym unosił się gniewem. Aby uniknąć jednego z jego zamierzonych ugodzeń, Benedykt zrobił *pólobrotu*, i silnie wyrzuciwszy nogą obutą w lekki i elegancki bucik, wymierzył swemu przeciwnikowi tak zwany *coup de figure* (raz godzący w twarz). Obcas rozdrapał nos i usta Niemca.

— *Sapperment*! krzyknął tenże, cofając się trzy kroki w tył i przykładając do ust rękę, którą odjął pełną krwi.

Zobaczywszy krew, Franc zupełnie stracił głowę, jak szalony rzucił się na przeciwnika, który przechylił się na prawo, wystawiając lewą nogę. Tym sposobem uniknął wymierzonego ciosu, ale Franc zachwiał się, potoczył i padł o parę kroków, prawie bezprzytomny. Benedykt zbliżył się do niego, a za nim i obecni ciekawie przyglądający się tej nowego dla nich rodzaju walce, w której podziwiali nadzwyczajną zręczność Francuza.

— Dość! dość tego! zawołali, widząc, że Franc leży nieruchomy.

— Czy poprzestajesz na tem, kochanku? zapytał Benedykt łagodnie z jak najsłodszą minką.

— *Nein, Himmels Kreutz Bataillon!* ryknął Niemiec.

Zaklęcie to przetłomaczone dosłownie: *batalion krzyża niebieskiego* nie ma wprost sensu, jednakże jest ono jednem z najcięższych złorzeczeń niemieckich.

— No! to podnieś się i zacznijmy nanowo, rzekł Benedykt.

Franc zawstydzony, podniósł się zwolna. Teraz nad niepohamowanym gniewem zapanowała nieco niemiecka przezorność, ale zawsze brakowało mu francuzkiej ruchliwości, rzutności, które tak już dały mu się uczuć. Benedykt zbijał go ciągle z tropu, cofając się wtenczas właśnie gdy on spodziewał się napaści; nareszcie zdawało mu się pewnem, ze tym razem przeciwnik zamierza go ugodzić, zacisnął więc pięście i zaczął powoli posuwać się naprzód. Nagle przyskoczył z podniesioną pięścią. Odsuwając się na bok, Benedykt tak silnie uderzył go brzuch, iż Franc upadł ciężko na ziemię.

— Przyznacie panowie, rzekł do świadków, że nie chcąc go zabić trzeba na tem skończyć, a przysuwając się do Franca, dodał.

— Czy uznajesz się pokonanym?

Żadnej odpowiedzi.

— My przyznajemy za niego; rzekli świadkowie, on zemdlał.

Chirurg zbliżył się, wziął rękę jego i zobaczył puls.

— Trzeba mu natychmiast puścić krew, zawołał, lub nie ręczę za jego życie.

— Puszczaj więc krew, doktorze, ja robiłem co mogłem, aby żadne z tych zajść nie skończyło się śmiercią. Co dalej będzie, to już twoja rzecz.

Poczem zbliżył się do majora i uściskali się; skłonił się uprzejmie dziennikarzowi, uścisnął dłonie świadków, i poprawiwszy nieco ubiór, wsiadł do powozu z pułkownikiem, tak spokojny jakby powracał z balu.

— No, cóż? kochany pułkowniku?

— Oto powiem ci tylko, odrzekł tenże, iż nie mówiąc już o sobie, mam przynajmniej z dziesięciu przyjaciół, którzy najchętniej zapłaciliby po tysiąc luidorów za widowisko na jakie ja patrzyłem.

— Panie, rzekł Lenhart, jeźli zechcesz mi przyrzec, że nigdy nie będziesz polował bezemnie, ani też bić się tak żebym ja tego widzieć nie mógł, to przyrzekam najuroczyściej, iż ja, koń mój i kabryolet do końca życia darmo służyć mu będziemy.

Tak więc Benedykt zgodnie z tem co powiedział Kaulbach'owi, trzech przeciwników pokonał, a sam wracał niezadraśnięty nawet.

XII.

Szkice Benedykta.

Powróciwszy do hotelu *Królewskiego*, Benedykt zastał tam służącego sławnego swego kolegi Kaulbach'a, oczekującego jego powrotu, aby pana swego zawiadomić o rezultacie pojedynków. W niewielkiej stolicy Hanoweru prędko bardzo rozeszła się pogłoska, iż w następstwie otwartego listu Benedykta, zamieszczonego w *Neue Zeitung*, tegoż dnia rano oddano mu trzy bilety wizytowe, w skutku czego wraz ze świadkami i przeciwnikami swymi udał się do Eilenriede, jako do miejscowości w której tu zawsze rozgrywały się sprawy honorowe.

Zaniepokojony mocno Kaulbach, pragnął poznać jak najśpiesznie; następstwo trzech pojedynków, i dlatego posłał służącego do hotelu. Benedykt polecił mu, aby najzupełniej uspokoił swego pana, dodając iż sam podziękowałby mu zaraz za tę uprzejmość, gdyby się nie obawiał zwrócić na siebie uwagi całego miasta.

Zaraz po powrocie pułkownik Anderson śpiesznie oddalił się pod jakimś pozorem — może jako ordynansowy oficer pałacowy potrzebował zdać sprawę z powodu swej kilkogodzinnej nieobecności.

Równie prędko jak wieść o pojedynku tak i następstwa potrójnej walki niebawem dla nikogo nie były tajemnicą. A następstwa te były taką nadzwyczajnością w dziejach pojedynków, wydawały się czemś tak niesłychanem, aby ktoś z trzech jeden po drugim wyszedł zwycięzko nawet nie zadraśnięty, iż w połączeniu z nienawiścią, jaką zawsze Bawarczycy uczuwali do Prusaków, dało powód iż młodzież postanowiła wysłać deputacyę do Benedykta, aby go pozdrowić i powinszować.

Benedykt przyjął deputatów jak najuprzejmiej i przemówił do nich tak wytwornie i poprawnie po niemiecku, iż wyszli oczarowani.

Zaledwie odeszli, wszedł właściciel hotelu, mówiąc, iż stojący u niego podróżni, tak byli oczarowani jego przygodami, iż kazali prosić go najusilniej, aby zaszczycił ich obecnością swoją przy *table d'hôte*, gdyż wszyscy pragną oznajmić mu swoje uwielbienie i uznanie.

Benedykt odpowiedział, iż wszystko to jest rzeczą tak prostą i naturalną, że w żaden sposób na żadne nie zasługuje uwielbienie, ale że miło mu będzie spełnić życzenie gości swego gospodarza.

Imci pan Stephen nie omieszkał rozgłosić w mieście, że młody Francuz, będący przedmiotem ogólnych rozmów i zajęcia, dziś wyjątkowo zajmie miejsce przy *table d'hôte*. I skutkiem tego, zamiast jak zwykle na 25 osób, musiał przygotować nakrycie na 200 osób.

Aż policya przybiegła sądząc, że to jakiś spisek czy zebranie polityczne — objaśniono ją, że to zgromadzenie przyjacielskie, demonstracya w rodzaju tej jaka miała miejsce przed trzema dniami w Berlinie, pod oknami pana von Boesewerk, tylko że w zupełnie przeciwnym duchu. Policya hanowerska była wzorową policyą, bardzo lubiącą przyjacielskie uroczystości i demonstracye patryotyczne, to też i tej nietylko się nie sprzeciwiała, ale owszem całą swoją otoczyła opieką, dzięki której wszystko odbyło się w jak największym porządku. O północy Benedykt mógł nareszcie wrócić do swego pokoju, ale urządzono mu pod oknami serenadę trwającą do drugiej w nocy.

(D. c. n.)

WYSTAWA W PAŁACU BRÜHLOWSKIM.

Dnia 26 kwietnia otwartą została w pałacu Brühlowskim Wystawa części okazów mających być przesłanych na niedoszłą w r. b. Wystawę moskiewską: urządzenie jej i otwarcie zawdzięczamy niezmordowanej zabiegliwości komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa. Jako urządzona z oderwanych cząstek, nie może dać dokładnego pojęcia nietylko o całości naszego przemysłu ale nawet o obecnym stanie pewnych jego gałęzi: całość jednak przedstawia się nader ponętnie i skupia nader liczne rodzaje fabrycznej i rękodzielniczej produkcyjności naszego kraju.

Zarząd Muzeum przemysłu i rolnictwa zawezwał do udziału w Wystawie wszystkich przemysłowców krajowych, którzy mieli wysłać swe wyroby na Wystawę moskiewską; lecz wielu zbyt późno zawiadomionych o odłożeniu Wystawy już je tam wysłali, drudzy zaniechali wykończenia okazów, innych znów wytwory nie mogły pomieścić się w ciasnym lokalu, z powodu swych rozmiarów. Przedstawicielami są w ogóle przemysłowcy warszawscy, z poza Warszawy zaledwie kilku. Ogólna liczba wystawców 132.

Na wstępie i wszedłszy do pałacu Brühlowskiego najpierw zwracają uwagę maszyny.

Przed samym pałacem wznosi się ozdobna altana żelazna (cena 2,000 rs.), okazałe pompy z fabryki odlewów żelaznych p. Rudzkiego i spółki oraz okazała pompa. Taż fabryka wystawiła prócz tego w salce B. kilkanaście ciekawych, dokładnie wyrobionych okazów; nader praktyczne, zdaniem kompetentnych, płuczki do kości w cukrowniach, maszynę do prasowania kapeluszy słomkowych, okazy krat, rury żelazne nowego systemu, jakoteż zbiór wcale ładnie wykończonej galanteryi metalowej, ozdobne kominki, przyciski i w. i. Fabryka ta istnieje od 1858 r. Materyały spotrzebowywane przez fabrykę sprowadzane są z zagranicy, ale zatrudnia samych tylko krajowców robotników. Specyalnością są obecnie roboty budowlane, ale urządza także młyny, gorzelnie, tartaki i browary.

Fabryka pod firmą Lilpop Rau i Loewenstein, założona jeszcze w 1818 r. przez braci Ewans'ów, wyrabiała początkowo jedynie maszyny i narzędzia rolnicze; później, ze zmianą właścicieli, nie zarzucając ich, wysoko rozwinęła kilka innych jeszcze działów. Według katalogu *„Ekonomisty"* zakłady jej składają się: 1° z fabryki maszyn i narzędzi rolniczych; 2° kopalni, wielkich pieców, fryszerek i fabryki wyrobów z glinki ogniotrwałej w Drzewicy; 3° kotlarni, fabryki mostów, wagonów i materyałów dla dróg żelaznych, na Solcu; 4° walcowni żelaza; 5° fabryki machin, odlewni i kotlarni w Sławucie: 6° fabryki stali na Nowej Pradze. Zakłady te, oprócz fabryki stali, według tegoż katalogu, produkują rocznie za 5 milionów rs. i zatrudniają 3,000 robotników. Zakład ten wystawił wielkie maszyny parowe, pompę alimentacyjną i różne narzędzia rolnicze, oraz palenisko kotła wertykalnego, który znawcy uznają mistrzowsko wykonany. W tym dziale Wystawy spotkaliśmy cudzoziemca specyalistę, nader bacznie przyglądającego się maszynom; okazywał nam notatki i jedno sprawozdanie do niemieckich gazet. Jak mówił, wysłany był przez jakieś wielkie zakłady z nad Renu. Zrobił uwagę iż maszyn niepodobna ocenić zasadniczo nie widząc ich działających: wytłomaczyliśmy to brakiem odpowiedniego pomieszczenia.

Panowie Borman, Szwede i Temler, właściciele fabryki istniejącej od r. 1818, wyrabiają przeważnie machiny i przyrządy do cukrowni, gorzelni, browarów i dystylarni: mogli ustawić zaledwie część kolumny i część rektyfikatora aparatu gorzelniczego, przy schodach prowadzących na Wystawę, brak miejsca nie dozwolił przedstawić całości. Słyszeliśmy kompetentnych zdaje się sędziów, podziwiających dokładność odrobienia, nieustępującą najlepszym wyrobom zagranicznym. Fabryka ta mieszcząca się w obszernych budynkach przy ulicy Srebrnej, posiada warsztaty mechaniczne, modelarnię, kotlarnię żelazną i miedzianą i gisernię; zajmuje około 250 robotników, samych krajowców.

Panowie Orthwein, Markowski i Karasiński, właściciele istniejącej od lat kilkunastu fabryki machin parowych i odlewni, wystawili dwie maszyny parowe o sile 4 i 6 koni, różne pompy i tartak parowy. Fabryka ta zatrudnia 160 robotników samych krajowców, i pierwszy raz przedstawia wyroby swoje na Wystawie. Roczny obrót przechodzi 200,000 rs.

Fabryka maszyn i narzędzi ogniowych pp. Troetzer'a i Emmel'a wystawiła różnego rodzaju sikawki, tak parowe jak do polewania, i t. d. Wyroby tej fabryki kilkakrotnie były już nagradzane na wystawach: w Paryżu, Wiedniu, Petersburgu i Filadelfii; zatrudnia kilkudziesięciu robotników, obrót jej roczny wynosi 80,000 rs.

Fabryki braci Gejsler, przed trzema laty założonej, roczną produkcję oceniają na 65,000 rs.; zatrudnia 80 robotników. Na Wystawę dostawili tokarnię pociągową i nożną, piłę taśmową, prasę i t. d. Wyrobom tym przyznają dokładność wykończenia.

Panowie Gerlach i Lampe, właściciele parowej fabryki maszyn i narzędzi pomocniczych, wystawili maszyny, odznaczające się dokładnością wyrobu i dobrobią użytych materyałów, co daje chlubne świadectwo działalności fabryki, istniejącej dopiero od lat kilku. Pierwszy raz dopiero przedstawiają się na Wystawie.

P. Ernest Schneider, pierwotnie posiadał w Warszawie tylko skład wytworów swej fabryki na Szlązku; przed kilku laty założył tu fabrykę młynów wodnych i parowych i obecnie przedstawił wyrobione w niej maszyny do czyszczenia pszenicy i kaszek, oraz kamienie młyńskie z krzemienia francuzkiego.

Panowie Jakób Fajans i spółka, właściciele fabryki maszyn i narzędzi, przedstawili prasę litograficzną, tokarnię i prasy do kopiowania różnych systemów, które długo sprowadzano do nas wyłącznie z zagranicy. Wyroby tej fabryki, równie dobre jak zagraniczne, są znacznie od nich tańsze. Fabryka ta zatrudnia 35 robotników krajowców, roczny obrót 45,000 rs.

Firma T. U. Jakobsen, pierwszy raz biorąca udział w Wystawie, przedstawiła cały aparat nowego systemu do wyrobu wód i napojów gazowych, oraz wód mineralnych sztucznych. Istnieje od lat 7 i zatrudnia 25 robotników krajowców. Obrót roczny 30,000 rs.

Kończąc opis działu maszyn, nadmienić wypada, iż gdy rozpoczynano w kraju naszym wyrabiać maszyny i aparata coraz rozleglejsze znajdujące zastosowanie i coraz niezbędniejsze, pierwsi ich producenci walczyć musieli z nader groźnem współzawodnictwem zagranicznem, wspierającem się na potędze kapitałów i wiekowem doświadczeniu, specyalnie wykształconych kierownikach i wytrawnych robotnikach. Nadto odstręczał także od zakładania podobnych fabryk nadmiar produkcyi objawiający się tak na zachodzie Europy jak i w Ameryce, skutkiem czego producenci zniewoleni byli ofiarowywać swe wytwory niekiedy nawet niżej ceny kosztu, lub przynajmniej na bardzo długie kredyta. Wśród tak niepomyślnych warunków, wielu ludzi ostrożnych odradzało rzucanie się do tego rodzaju przemysłu, w przekonaniu że straty tylko przynieść nam może, radząc raczej w rolnictwie szukać równowagi bilansu przemysłowego. Wystawa w pałacu Brühlowskim jest wymownym dowodem iż przy dobrych chęciach, pracy i wytrwałości możemy skutecznie walczyć z zagranicznem współzawodnictwem. Niedawno założone, wyłącznie przez krajowców obsługiwane fabryki, rozwijają się dziś już bardzo pomyślnie, a wyroby ich, tak pod względem dobroci jak gustu, bynajmniej nie są niższe od wyrobów fabryk które majstrów i kierowników sprowadzają z zagranicy. Dzięki wzorowo urządzonym szkołom przy drogach żelaznych, prowadzonym starannie i umiejętnie, jakoteż szkole rysunkowej urządzonej staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa, siły nasze z każdym dniem wzrastają i wyrabiają się na tej drodze, przedstawiając tak robotnikom jak ukształceńszej młodzieży szerokie pole pracy i zapewnienia sobie dobrobytu.

Warszawskie przedsiębiorstwo asfaltowe, przedstawiono w całym komplecie, poczynając od surowej skały asfaltowej aż do płynnych jej przetwo-

rów, bitumu i cementu drzewnego. Widzimy posadzki wyrabiane w deseń, rynny, tafle do chodników, kostki brukowe i t. d., a nareszcie tekturę smołowcową wraz z modelem wskazującym sposób pokrywania nią dachów. Fabryka ta przerabia rocznie około 180,000 pudów skały asfaltowej.

Zaraz obok p. Skoryna wystawił dwa duże kamienie młyńskie z kawałków krzemienia francuzkiego, oraz rozmaite narzędzia i przyrządy używane w młynarstwie. Skład ten istnieje już blizko lat sto; fabryka zatrudnia 30 robotników; obrót roczny 150,000 rs.

Na schodach zwraca uwagę śliczne lustro z fabryki p. Silberberga, odznaczające się doskonałą równością obu powierzchni. Fabryka ta istnieje już od lat 40.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Dalszy ciąg).

Pomemat Hezyoda, najdawniejszego, co do czasu, po Homerze poety, poświęcony radom i przepisom rolniczym i gospodarskim, moralizujący i niekiedy przepełniony cierpką goryczą, spowodowaną krzywdą, której poeta doznał od własnego brata—poemat ten nie jest arcydziełem, ale jako najdawniejszy utwór dydaktyczny, obfituje w cenny materyał do dziejów kultury i obyczajów, a oprócz tego jaśnieje tu i owdzie sędziwą mądrością wieków odległych i wdziękiem wplecionych zręcznie epizodów i zboczeń, opisów zjawisk ziemskich i niebieskich. O wszystkich tych zaletach pierwowzoru zbyt wolny przekład p. Felicyana, nie mówiąc już o jego ułamkowości, daje niedokładne wyobrażenie. Zmuszeni jesteśmy chyba przypuścić, że tłomacz nie przekładał z oryginału, lecz z jakiegoś bardzo wolnego przekładu lub naśladowania w języku francuzkim lub innym nowożytnym. Przemawia za tem po części także i niewłaściwy podział utworu na „dwie pieśni", w oryginale nie istniejący, gdyż niewielki utwór o 826 wierszach ani z powodu rozmiarów ani ze względu na treść żadnych podziałów nie potrzebuje.

Dalej mamy przekład trzech ód Horacyusza, wogóle bez porównania wierniejszy i dokładniejszy od tłomaczenia Hezyoda, chociaż i tu jeszcze są znaczne odstępstwa od oryginału. Użyta przez tłomacza nowożytna i rymowana miara wierszowa, pomimo rozmaitości i bogactwa rymów żeńskich, nie daje, rozumie się, żadnego wyobrażenia o mierze oryginału, z wyjątkiem po części przekładu 22 ody księgi I, gdzie p. Felicyan naśladował nieco strofę soficką. W przekładzie słynnej pieśni wiosennej (ks. I. od 4) znajdujemy wyrażenia, mijające się całkiem z myślą oryginału. Tak w. 2 trahuntque siccas machinae carinas, znaczy: „machiny wciągają (na wodę) wyschłe (przez zimę) łodzie"; natomiast u tłomacza czytamy: „już i łodzi ster zamorskich szuka stron". Krótkie wyrażenie poety: O beate Sesti, tłomacz oddaje tak: O ty szczęśliwcze ty! Tu powtórzenie zaimka *ty*, zapewne z więzów rymu wynikłe, nadaje temu wierszowi cechę nieco trywialną jakby połajanki. Przepyszny wiersz poety (w. 15) przez tyle wieków podziwiany i powtarzany: Vitae summa brewis spem nos retat inchoare longam (dosłownie: całość krótkiego życia zabrania nam zbyt wygórowanej nadziei), u tłomacza rozpłynął się niepostrzeżenie w połączeniu z tem co następuje; a mianowicie dalej mówi poeta: Jam te premet nox fabulaeque Manes Et domus exilis Plutonia (wnet ogarną cię noc i bajeczne cienie i nieludny pałac Plutona); tłomacz zaś to wszystko wyraża bardzo niedokładnie, następnemi wierszami:

Toć przecie pomnij, że życia bieg chyży,
Nim ci sny twe zbliży,
Już zapadłeś w mrok, w przywidziane *Ćmy* (!)

Początek ody 22: Integer vitae scelerisque purus (mąż czystego żywota i wolny od zbrodni) u tłomacza brzmi blado i z niepotrzebnym dodatkiem: Człek *bez plamy pełen jest dziwnej siły*. Zresztą ta oda ze wszystkich trzech przełożoną została najwierniej.

Następuje przekład siedmnastu listów Horacyusza. Zbiór ten, dawniej już częściowo w pismach peryodycznych (przeważnie w Kronice Rodzinnej, a także w Tygodniku Illustrowanym) drukowany, jest najlepszą częścią całej książki, nadającą jej rzeczywistą wartość. Tłomacz lepiej tu pojął swoje zadanie i nietylko że w ogóle przekłada dosyć wiernie, ale nadto umie odtworzyć ów humor Horacyuszowy, lekki i wesoły, choć często znaczący i głęboki, nieraz kolący, ale nie żółciowy. Niekiedy wszakże i tu znajdujemy znaczne od oryginału odstępstwa, czasem też nienależyte oddanie barwy Horacyuszowego dowcipu. Oto np. oba grzechy tłomacza są widoczne w końcowych wierszach listu do Tybulla. W oryginale te ostatnie 5 wierszy brzmią tak: „Pośród trosk i nadziei, śród obaw i gniewów mniemaj, że każdy dzień zaświtał ci już ostatni; miłą ci będzie godzina przyjemności, która nadejdzie niespodzianie. Gdy zaś uśmiać się zechcesz, odwiedź mnie, prosiątko z Epikura trzódki, tłustego i gładkiego, dbającego o czystość cielesnej powłoki." Obok zasady praktycznej, ażeby nie przywiązywać się zbytecznie do życia i zawsze spodziewać się śmierci, a przytem nie gonić za przyjemnością, ale przyjmować uciechy i pomyślności jako rzecz niespodziewaną, co już uczyni je przyjemniejszemi,—zasady filozoficznej, istotnie wypowiedzianej przez Epikura poeta drwi lekko z *mniemanych* Epikurejczyków, którzy nie pojąwszy myśli mistrza, pogrążyli się w uciechach zmysłowych i do tej *trzódki* (w znaczeniu szkoły, sekty) zalicza też żartobliwie i siebie, głównie z powodu dobrej swej tuszy i połysku skóry, niby u prosięcia. U tłomacza ginie zupełnie subtelny ten odcień humoru Horacyuszowego, zarówno jak i sens filozoficznej owej maxymy: myśl przekładu powikłana i niejasna, pokrewieństwo z oryginałem oddalone, a końcowy dowcip zupełnie zniweczony i przerobiony na wyrażenie całkiem niehumorystyczne. Ażeby czytelnicy sami mogli osądzić, podaję tu ten końcowy ustęp przekładu, grzeszący jeszcze i rozwlekłością, gdyż zawiera aż 14 wierszy, mających odpowiadać 5 wierszom oryginału, powyżej przytoczonym.

A przecie,
Wierz mi, czy dola sprzyja ci szczęśliwa,
Czyli cię brzemię przeciwności gniecie,
Czyś smętny, czyli gniewny—*dobrze bywa*, (!)
Byś w każdej chwili mniemać chciał, że może
Już to ostatnie lśni dla ciebie zorze.
Tak, *coraz nowy życia bieg* co rano
Niespodziewaną będzie ci wygraną.
Tymczasem gdybyś, *patrząc w sprawy czyje*
Chciał *znać (!), jak świetnie człek w próżniactwie tyje*,
Prosze cię, moją racz odwiedzić chatę;
Ręczę, serdeczny że *cię* śmiech *rozbryka* (!)
Bo będziesz mniemał widzieć *śród karmnika*
Epikurejskie *bydlę nierogate*.

Naśladowanie niefortunne. Gdzież tu szukać owej mądrej magicznie i zwięźle wypowiedzianej maxymy: Inter spem curamque, timores inter et iras Omnem crede diem tibi diluxisse supremum: Grata superveniet, quae non sperabitur hora.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 czerwca 1881 r.

Od dziesięciu dni słońce stale przyświeca nad Paryżem, ztąd niesłychany ruch w świecie mody. W przewidywaniu rychłych upałów, Paryżanki biegają po magazynach, wybierają kostiumy przygotowane do wód albo kąpieli morskich. Wyścigi konne, powtarzające się nieustannie w lasku Bulońskim, są też polem popisu dla wiosennych toalet. Najarystokratyczniejsze jednak stroje widzimy na wystawie obrazów, w tak zwanym *Salonie* i to wyłącznie w piątek. W dniu tym bilet wnijścia kosztuje pięć razy tyle jak w dniu zwyczajnym, prości śmiertelnicy wybierają też inne dnie na przypatrzenie się dziełom artystycznym, a *Salon* w tym dniu z wystawy obrazów przeistacza się w wystawę strojów letnich. Nigdzie też lepiej przypatrzeć im się nie można. Piękne panie zatrzymują się przed obrazami, a my tymczasem, zapominając o sztuce, obliczamy wolanty ich spódniczek, róże i egretki ich kapeluszy.

Oto plon naszych piątkowych spostrzeżeń.

Uderzyła nas w oczy przedewszystkiem przewaga błękitnego koloru w najrozmaitszych odcieniach:

Młode osoby upodobały sobie odcień niebiesko-zielonkowaty, zwany *bleu japonais, bleu malade, bleu du Nil, bleu du Danube* i t. d. Starsze nieco noszą kolor *habrowy*, graniczący między błękitem a szafirem, lub też *lapis lazulli* wpadający w barwę popielatą. Dla najstarszych zostawiony kolor marynarski *bleu marin*, i ciemniejszy jeszcze zwany *papier à sucre*, to jest bibuły w jaką obwijają zwykle głowy cukru. Nie sądźmy jednak, aby taka suknia miała być wyłącznie przywilejem późnego wieku. Uważaliśmy młodą mężatkę ubraną w kostium ciemno granatowy, który przy jaśniejszych ozdobach bardzo świetnie wyglądał. Oto szczegółowy jego opis:

Spódniczka do ziemi z fularu surah, zakończona plisowanym wolancikiem. Nad tem marszczony wolant szeroki na ćwierć łokcia, z atłasu w pasy, w kolorach złotym *(viel or)*, i ciemno *pąsowym* (caroubier). Powyżej spadał szeroki na łokieć, wolant z lekkiej granatowej tkaniny zwanej *voile*, ułożony w szerokie kontrafałdy, objęty błądyną tegoż koloru, taka sama krótka spódniczka, również objęta błądyną, zręcznie udrapowana, sięgała ledwie kolan. Stanik do tego bardzo długi zachodzący na biodra, zakończony z przodu bawetem, był z tyłu karokiem o trzech fałdach, sznurowany w tyle, w koło obszyty błądyną. U szyi miał prosty kołnierz stojący granatowy, z pod niego wybiegała fryzka z białej koronki, złączona z przodu kokardą z błądyny granatowej. Poniżej stanu przeciągnięta szeroka szarfa atłasowa, w pasy zło-

te i *caroubier*, tworzyła z lewego boku trzy wielkie pukle spadające aż do wolanta. Dopełniał stroju kapelusik okrągły z rondem odwiniętym, przybrany pękiem piór strusich, w kolorach złotym, ciemno pąsowym i granatowym.

Drugi kostium, jasno szafirowy, (habrowy) w dwóch odcieniach, z fularu surah. Spodniczka do ziemi cała naszyta mnóstwem plisowanych wolancików szerokich na trzy cale; ciemniejsze i jaśniejsze mieniały się kolejno. Stanik długi, z bawetem, w tyle przedłużony jak fraczek, przez rozciętą klapę wyglądał plisowany wolant, nakształt wachlarza w jaśniejszym odcieniu. Z pod fraczka spadała na dół sukni fantastycznie upięta draperya. Poniżej stanu przerzucona szarfa kończyła się w tyle wielką kokardą. U szyi spadał kołnierz marynarski w odcieniu jasnym, z falbanką plisowaną do koła. Rękawy bardzo obcisłe, sięgające zaledwie za łokieć, miały mankiet z falbanek w dwóch odcieniach. Dopełniał ubrania kapelusik okrągły ze słomy ryżowej, strojny pękiem piór błękitnych i szafirowych.

Trzeci kostium bardzo oryginalny, składał się ze spódniczki fularowej, surah, w kolorze *viel or*; u dołu spadały dwa wolanty z lekkiego muszlinu, w różnobarwny deseń *pompadour*, objęte koronką na trzy palce. Na to szła krótka tunika, upięta w sztuczne festony z fularu i muszlinu, zdobna również koronką. Stanik z długim bawetem fularowy miał pelerynkę przymarszczaną u szyi z muślinu *pompadour*, zakończoną wolantem koronkowym. Kapelusz słomkowy z pękiem różnobarwnych kwiatów polnych ślicznie dopełniał tego wiosennego ubrania.

Uważaliśmy wiele sukien sznurowanych, na przodzie dosyć grubym sznurem jedwabnym. W miejscu dziurek, dane rzędem guziki z dżetu lub konchy perłowej, przewiercone w środku, aby sznur mógł przejsć tym otworem. Inne znów staniki, spinają na rząd sprzączek, jakich używamy do spinania płaszczyków u szyi. Robią je z dżetu, konchy, stali lub z oksydowanego srebra.

Turniury upowszechniają się coraz bardziej. Płaskie suknie widocznie uprzykrzyły się Paryżankom. Tylko patrzéć jak od turniur przyjdziemy znowu do krynolin.

Miesiąc temu wspominaliśmy o kaftanikach z siatki sznelowej; dziś spostrzegamy nową ich odmianę. Te kaftaniki bez szwu, zwane Jersey, robią z paciorek bądź dżetowych, bądź kolorowych, nawłoczonych na sznurek elastyczny. Slicznie to połyskuje na słońcu; u wód można im wróżyć nie małe powodzenie.

Do letnich sukien balowych wymyślono bardzo ładny garnirunek. Jest to frendzla z trawy i drobnych polnych kwiatków.

W parasolikach tegorocznych wielka uderza rozmaitość. Do strojnych sukien wizytowych lub na konne wyścigi noszą je w kolorze odpowiednim, naszyte całe wolancikami z białej koronki, lub czarnej blądyny hiszpańskiej. Niektóre mają formę płaską, nakształt chińskich i japońskich parasoli, w koło idzie bogata frendzla jedwabna lub sznelowa. Uważaliśmy jeden bardzo fantastyczny z atłasu brązowego. Zdobił go szlak niewarowy, cały zasiany w czarne *trefle i piki*, w czerwone *coeur i caro*. Przygotowano go zapewne do Monako, gdzie przetrwała dotąd ruleta. Do codziennego użytku lub na drogę, widzimy parasolki pokryte satinetą lub perkalem w guście pompadour, albo strojniejsze od nich fularowe.

Co do sukien fularowych, moda ich nie ustaje. Do najmodniejszych należą ciemne w brązowym kolorze, w deseń żółty i ciemno-czerwony, podobne zupełnie do chustek, jakich używają amatorowie tabaki. Taki kostium jeśli nie odznacza się gustem, to przynajmniej trudno odmówić mu oryginalności.

Rękawiczki duńskie, długie do łokcia, używane dziś nawet do jedwabnych wizytowych sukien; nie spinają się na guziki, lecz przytwierdzają bransoletkami. Długa rękawiczka, konieczną się stała przy bardzo skróconych rękawach. Wiele wytwornych nawet elegantek przyjęło dziś rękawiczki z nici szkockich w kolorze odpowiednim do sukni. Gładkie na ręku, mają ażurowy mankiet sięgający do łokcia.

Kapelusze słomkowe, bardzo małe, z główką w kształcie rondelka, otoczone przy twarzy wieńcem róż lub innych kwiatów, ukazują się przeważnie na ulicy. Wiążą je pod brodą, szeroką szarfą z czarnej hiszpańskiej blądyny. Kokarda przepięta zwykle złotą szpilką lub bukiecikiem.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W dniu dzisiejszym, pisze „Kuryer Warszawski” w N. 111, deputacya gminy starozakonnych, złożona z pp. dra Natansona, Salomona Lewentala i Lessera Levy, przybyła do JEks. administratora dyecezyi ks. Sotkiewicza w celu złożenia mu gorącego podziękowania za wysokie słowa miłości i braterstwa ogłoszone z ambon w jego imieniu podczas nabożeństwa zeszłej niedzieli. Deputacya przemówiła do ks. administratora mniej więcej w te słowa: „Przedstawiciele tutejszej gminy starozakonnych przybyliśmy, aby podziękować za wzniosłe słowa miłości i pokoju wygłoszone w imieniu Waszej Ekscellencyi w kościołach katolickich, aby wyrazić przy tej sposobności nasze głębokie poszanowanie dla kościoła katolickiego, aby zapewnić o naszych uczuciach obywatelskich, o świadomościach naszych obowiązków względem kraju i usilnych staraniach z naszej strony o wpojenie tych uczuć w massy naszych współwyznawców. Postawa kościoła katolickiego znakomicie to nasze zadanie ułatwia.”

+ Komitet zajmujący się wydaniem dzieł Jana Kochanowskiego, w celu uczczenia trzechsetnej rocznicy zgonu znakomitego wieszcza, zamieszył po uzyskaniu zezwolenia władzy, urządzić w roku b. w Warszawie widowisko sceniczne, którego dochód będzie obrócony na powiększenie funduszu wydawnictwa. Widowisko to ma się składać z „Odprawy posłów greckich” Kochanowskiego, i z komedyi „Z chłopa król” Piotra Baryki. Program obejmuje także deklamacyę poematu na cześć J. Kochanowskiego. W tym celu komitet ogłasza konkurs na poemat odpowiedniej treści. Nie ma to być wierszowana biografia poety Czarnoleskiego, ale uwydatnienie wszystkich głównych cech jego charakteru jako człowieka i twórcy, przedstawienie ważniejszych kolei jego życia w domu, w rodzinie, w kraju, — aby poemat przedstawił i odsłonił obecnemu pokoleniu, duszę ojca polskiej poezyi. Poemat, jako przeznaczony na deklamacyę, nie może być zbyt obszerny, ale zastosowany do deklamacyi zajmującej kwadrans do 20 minut czasu. Utwór uznany za najlepszy pozostanie własnością Komitetu wydawniczego, który zajmie się jego ogłoszeniem. Nagrodą będzie summa rs. 100, wypłacalna niezwłocznie po przedstawieniu, oraz asygnacya na ozdobny egzemplarz wydawnictwa, opatrzony imienną dedykacyą dla autora poematu. Utwór najlepszy po premiowanym otrzyma podobnież asygnacyę na egzemplarz ozdobnego wydania z dedykacyą imienną i pozostawieniem autorowi prawa własności — inne utwory zwrócone będą autorom po ogłoszeniu rezultatu. Na sędziów konkursu zostali zaproszeni: pp. Ludwik Jenike, Kazimierz Kaszewski, Jan Królikowski, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), Roman Plenkiewicz. Utwory składać należy pod adresem profesora Józefa Przyborowskiego, Warszawa, przy ulicy Żabiej Nr. 4, w kopertach zapieczętowanych oznaczonych godłem, do czego trzeba dołączyć inną kopertę z temże samem godłem i nazwiskiem autora. Termin ostateczny 15 września 1881 roku.

+ Znakomity nasz poeta, lirnik Mazowiecki, Teofil Lenartowicz ukończył w Bolonii tegoroczne wykłady o poezyi polskiej, w sali nniwersytetu. Pierwszy to raz od lat wielu na starej tej katedrze zasiadł Polak i mówił o naszej poezyi tak jak jedynie tak serdeczny poeta mówić może. Mówił o „Konradzie Wallenrodzie” i „Farysie” Adama, o życiu Wacława Rzewuskiego, które natchnęło pieśnią aż czterech poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Pola i Padurę. Dalej o przekładach Odyńca, którym równych nie posiada żadna literatura europejska: o „Kirgizie” Gustawa Zielińskiego i o poezyach Karola Balińskiego. Mało komu u nas znany jest ostatni utwor ostatniego, jaki przed samą napisał śmiercią, do tegoż Lenartowicza, który obecnie zapoznał Włochów z pięknemi jego utworami, zaczynającemi się od słów:

„Sam ty dziś kowalu ducha,
Dźwigać musisz święty młot,
Aż się iskra w żar rozdmucha
I do wielkich popchnie cnót...”

Naturalnie serdeczny nasz Lirnik nie wspomniał o nim, a śliczny to utwór.

Każde ukazanie się jego w Sali młodzież uniwersytecka witała głośnym okrzykiem, i tak cisnęła się do niego, iż idąc do katedry kilkakrotnie zatrzymywać się musiał. Rektor nniwersytetu, szanowny Santagata, i wszyscy profesorowie nie mający wykładów w tych godzinach, byli obecni na każdej prelekcyi, na które zbierał się także kwiat intelligencyi i towarzystwa bolońskiego. Wykłady Lenartowicza wprawiały w zachwycenie słuchaczy; wszystkie dzienniki miejscowe pisały o nich z jak największemi pochwałami, nazywając naszego poetę „sławnym, znakomitym, ozdobą i chlubą swego narodu.” Włosi nie wyobrażający sobie aby pod zimnem tchnieniem północy mogły bić tak gorące serca, tak pełne wzniosłych natchnień poemata, wytworzyć takie geniusze jak Mickiewicz, nie mieli słów na wyrażenie swego zachwycenia. Skutkiem rozbudzonego ogólnego zajęcia, powstał projekt utworzenia katedry literatury słowiańskiej a przeważnie polskiej i powierzenie jej serdecznemu naszemu lirnikowi. Lecz czy przyjdzie do skutku i czyby Lenartowiczowi bardzo nadwątlone zdrowie pozwoliło wykładać cały rok uniwersytecki?

Po skończeniu tej seryi wykładów rektor uniwersytetu wydał obiad na jego cześć, na którym obecni byli wszyscy znakomitsi profesorowie, prezes trybunału, poeci i literaci miejscowi, prezydent miasta i delegat rządowy. Najpierw wniesiono zdrowie naszego poety-rzeźbiarza, następnie za pomyślność Słowian a głównie naszej ukocha-

nej ojczyzny prelegenta. Lenartowicz miał nazajutrz opuścić Bolonię i żegnano go nadzwyczaj serdecznie wśrod nieustających okrzyków: „wracaj do nas, wracaj!”

Prelekcye jego wyjdą z druku w Bolonii — o ile się da, podzielimy się choć wyjątkami z naszemi czytelniczkami.

+ We Florencyi umarł nagle Władysław Orpiszewski, człowiek zacny i powszechnie szanowany, mąż owej Maryi, dla której to Słowacki napisał ów niezrównany poemat miłości „W Szwajcaryi”. Było to małżeństwo bardzo się kochające; bohaterka poematu Juliusza ubóstwiała męża; ma to być rzeczywiście kobieta wyższa, pełna cnót i talentów.

+ Lat temu 40 Czesi nie posiadali jeszcze narodowego teatru, a przedstawienia musiały odbywać się raz tylko na tydzień, w niedzielę po południu, w teatrze niemieckim; dziś, dzięki wytrwałości i patryotyzmowi swemu, posiadają teatr bardzo piękny, który kosztem wspólnych ofiar i zabiegów zbudował *Naród sobie*. W r. 1845 kilkudziesięciu patryotów podali prośbę do Wydziału Stanów o koncesyę teatru narodowego — uzyskali ją — ale żadnych na ten cel nie było funduszów, i dopiero w r. 1849 pierwsi hrabiowie Chotek i Kolowrat ofiarowali po 4,000 fl. a hr. Harrach i książę Schwarzenberg po 1,000 fl. W następnym roku zawiązał się komitet celem zbierania funduszu na budowę teatru i zebrano na razie 30,000 fl. Około r. 1860 wzniesiono nad Mołdawą teatr tymczasowy, a komitet nie przestawał zbierać dalsze składki, aż gdy nareszcie w 1866 zebrał już około 200,000 fl. i miasto dało plac nad Mołdawą, wtedy ułożył się z budowniczym Zitkiem i na Ś. Jan 1868 r. położono uroczyście kamień węgielny. Mimo wszelkich trudności i przeszkód, napotykanych na każdym niemal kroku, Czesi pracowali wytrwale przez lat 13, zbierali grosz do grosza, prawie kamień do kamienia i dziś wznieśli sobie wspaniały teatr narodowy, będący zapowiedzią nowej epoki sztuki czeskiej w ogóle. Jakoż budownictwo, rzeźbiarstwo i malarstwo czeskie, znalazło przy tej budowie ognisko świetnego rozwoju. Komitet, na którego czele stoi dr. Rieger, oddaje gmach na własność kraju; Wydział krajowy staje się jego zawiadowcą, a koncesye na przedstawienia (wyłącznie w języku czeskim) udzielił spółce zostającej pod przewodnictwem pana Skramlik, burmistrza prazkiego.

Teatr czeski stanął nad brzegami Mołdawy, w bardzo malowniczem położeniu. Prześliczny jest widok z balkonu na błękitne fale Mołdawy, na zieloną wyspę Strzelecką i wyspę Zofii, na dalekie i wysokie Hradczany, po nad które strzela ku niebu wieża katedry Ś. Wita. Gmach teatralny tworzy podługowaty czworobok, pokryty kopułą, otoczoną wielką wyzłacaną galeryą. Po nad portykiem dolnym znajduje się loggia a nad nią otwarty balkon z galeryą kamienną, którą zdobią postacie Apollina i dziewięciu muz. Po lewej i prawej stronie w rogach gmachu wznoszą się dwa szerokie słupy, w niszy prawego stoi Zabój, w niszy lewego Lumir, dwie mistyczne postacie z rękopismu królodworskiego. Druga, dłuższa fasada, zwrócona jest ku Mołdawie. W trzeciej jej części wysunięty jest na dole portyk pod który zajeżdżają powozy. Nad portykiem lwy unoszą herby czeskie. Przepysznie urządzone są apartamenta cesarskie. Prowadzą do nich ozdobne schody marmurowe od strony Mołdawy; ściany zdobią marmury i allegoryczne malowania. Najprzód wchodzi się do podłużnego salonu, o czterech oknach, z których prześliczny jest widok na Mołdawę i wyspę Strzelecką. Trzy części ścian pokrywa żółte obicie, a czwartą górną, na przeciw okien, zdobi obraz 9 metrów szeroki a 1 m. wysoki, wyobrażający czasy Luxemburskie. W samym środku siedzi na tronie Karol IV; po prawej stronie siedzą przedstawiciele nauk (założenie wszechnicy), po lewej przedstawiciele sztuk: Maciej z Arrasu, budowniczy katedry Ś. Wita, następca jego Piotr Parler; humanista czeski Tomasz Sztitny; gość na dworze królewskim, Petrarka i inni. Górną część dwóch innych ścian zdobić będą kończące się obrazy: „Wiek Przemyślidów„ (Libusza i „Wiek Habsburg'ów” (cesarz Rudolf). Z salonu cesarskiego wchodzi się do mniejszego pokoju, a na lewo do wielkiej loży cesarskiej, której ściany naśladują marmur; meble białe ze złotem. Naprzeciw loży cersarskiej umieszczone bogato przyozdobione loże namiestnika i marszałka krajowego.

Scena jest ogromna. Pod posadzką mieści się sklepienie równie wysokie jak scena a po nad sceną przestrzeń tejże wysokości, zatem można dowolnie albo spuszczać dekoracye na dół albo podnosić w górę. Skorzystano tu wszędzie umiejętnie z najnowszych wynalazków i odkryć. Maszynerya urządzona w prawym rogu widowni tuż przy loży namiestnika, dozwala widzieć jak powstaje grzmot, burza, lub szelest deszczu, dozwalające podziwiać postęp w sztuce mechanicznej, w zastosowaniu do teatru. Wodociągi urządzone są na wielką skalę. Jeźli scenerya wymagać będzie fontanny, tryśnie prawdziwa woda na kilkanaście stóp wysokości. Zrobiono co było tylko możebne, aby teatr zabezpieczyć od pożaru; między innemi urządzona jest druga kurtyna z żelaznej blachy, która w razie wybuchnienia na scenie ognia szczelnie oddzieli od niej widzów.

Foyer, jest to wspaniała sala o pięciu szklannych drzwiach wychodzących na balkon pierwszego piętra; ściany jej są z żółtego i białego marmuru, a odrzwia drzwi prowadzących na korytarz są z marmuru brunatnego. Z foyer wchodzi się do parterowego przysionku a z niego do parketu. Sala to przepyszna i nadzwyczaj wysoka, skutkiem kopuły stanowiącej dach nad nią. Wewnątrz kopuły znajduje się otwór, którym spuszczają olbrzymi żyrandol, ważący 3,000 funtów, o 472 płomieniach które dzięki misternie zestawionym kryształom niebieskim czerwonym i białym, tworzą światło złożone z narodowych barw czeskich. Otwór ten otacza najpierw szeroka złocista girlanda, dalej idzie do koła ośm figur allegorycznych, wyobrażających sztuki, poprzedzielanych jakby szerokiemi arabeskowemi kobiercami, przetykanemi złotem. Po nad tem wszystkiem złoty wieniec amoret, gwiazd, lir i monogramów z liter N. S. (naród sobie). Cały sufit lśni się od złota. Cały gmach wzniesiony jest z blado żółtego kamienia czeskiego.

W całej Austryi nie ma drugiego równie wspaniałego teatru; teatr czeski nawet Operę wiedeńską przewyższa przepychem a mianowicie wysokością.

+ Śmierć Lorda Beaconsfield'a wywołała ogólny żal nietylko konserwatystów, ale i radykalnych, których większość potępia bezwarunkowo politykę Gladstone'a odnośnie do Transwaalu, a wszyscy w ogóle zgadzają się, że gabinet torysów byłby więcej dbał o honor Anglii niż obecny poświęcający wszystko dla wyrównania budżetu i dla kwestyi ekonomicznej poświęca sprawy zagraniczne. Przed parą tygodniami wszystkim ministrom nadesłano karty pogrzebowe następującej treści:

Projekt napisu na pomnik mający wznieść się w opactwie Westminster.

†

Poświęcony pamięci

HONORU

Ulubionej małżonki John Bull'a.

†

Skonała w **Transwaalu**,

Została pogrzebana w **Kandaharze**

w miesiącu marcu 1881 roku.

Przyczyną jej śmierci gwałtowny atak

Pokoju.

†

Pomysł czysto angielski.

Zawiadomienie.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy Ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Od Redakcyi.

W kwartale drugim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . rs. 4.

SPROSTOWANIE.

Z powodu opóźnienia w nadesłaniu z zagranicy dużego dodatku z krojami, jaki miał być przy Nr. 22 i 23, dołączamy takowy do Nr. 23 i 24. Łaskawe czytelniczki zechcą poprawić numeracyę w swoich egzemplarzach, zmieniając w opisie z boku arkusza N-ra. 22 i 23 na 23 i 24.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 12 Мая 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

Oktawiusza Feuillet,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg).

Jakób nie potrzebował namyślać się długo, aby odgadnąć o co chodzi. Jakkolwiek nic nie wiedział o niecnem odezwaniu się Dianny Grey po jego odejściu, ale zły humor pana de Maurescamp podczas śniadania nie mógł ujść jego uwagi, prędko więc zrozumiał prawdziwy stan rzeczy. Pan de Maurescamp chwytał pierwszy lepszy pozór zadowolnienia nienawiści zazdrośnego męża, bez wyraźnego skompromitowania żony. Napisał natychmiast do dwóch przyjaciół swoich, pana Juliusza de Rambert i Anglika Johna Evelyn, posłał listy i obaj nadeszli w kilka minut po przybyciu pp. d'Hermany i de la Jardye. Zostawił ich a sam udał się do sąsiedniego pokoju.

Podobne sprawy nie wywołują długich rozpraw, ponieważ interesowani wiedzą dobrze iż pod pozornym powodem pojedynku kryje się inny rzeczywisty, którego, za zobopólną zgodą, nie można dotykać ani rozbierać. Na zarzuty stawiane przez pp. d'Hermany i de la Jardye, w imieniu pana de Maurescamp, panowie de Rambert i Evelyn odpowiedzieli w imieniu pana de Lerne, iż zarzuty te są prostem przewidzeniem, skoro jednak pan de Maurescamp uważał się za obrażonego, pan de Lerne nie może odmówić żądanego zadość-uczynienia. Z resztą obaj zgodzili się na to, aby załatwić tę sprawę zanim się rozgłosi.

Co do wyboru broni, świadkowie pana de Lerne stawiali niejakie trudności, a to z powodu zwierzenia jakie Jakób im zrobił, z warunkiem zachowania go w tajemnicy. „W zasadzie, rzekł, zgadzam się na szpady, zgadzam się na wszystko; ale wiadomo wam, iż przed dwoma laty, zostałem ranny w prawą rękę w pojedynku z panem de Monthélin; pomimo zagojenia rany, pozostało mi dotąd pewne osłabienie, dające się szczególniej uczuwać podczas zmiany pogody — co w pojedynku może nie być bez wpływu. Ponieważ dolegliwość ta nie jest widoczną, nie mogę zasłaniając się nią domagać się pistoletów. Widują mnie codziennie biegle grającego na fortepianie, mógłby więc ktoś wnosić że szukam tylko wybiegów aby uniknąć pojedynku na szpady, wiedząc że Maurescamp jest nader biegłym w fechtowaniu i robieniu szpadą. Zaklinam więc was, nie wspominajcie o pewnej niemocy mej prawej ręki, przez wzgląd na mój honor... jednak jeżeliby można w zaszczytny sposób ułożyć pojedynek na pistolety, bardzo byłbym rad z tego."

Starali się przełożyć świadkom pana de Maurescamp, iż w tym razie nader trudno było rozstrzygnąć kto był obrażającym a kto obrażonym. Przysłane panu de Lerne wyzwanie przez pana de Maurescamp, z tak błahych niezaprzeczenie powodów, było nieusprawiedliwionem i zakrawało na napaść, uważali więc że słuszność sama nakazywała aby wybór broni należał do bezzasadnie wyzwanego, lub aby już co najmniej zdać go na los szczęścia. Panowie d'Hermany i de la Jardye, odpowiedzieli zimno grzecznie, że w tej nieszczęsnej sprawie nie może być mowy o takiej zamianie ról, i że uporczywe nie uznawanie praw ich przyjaciela i zaprzeczenie mu charakteru obrażonego, zakrawałoby na chęć odmówienia mu zadość-uczynienia czego niezawodnie pan de Lerne nie ma na myśli. PP. de Rambert i John Evelin uznali niestosownem nastawać dłużej.

Później długo i wiele mówiono i sprzeczano się o to, czy w tym razie postąpili jak należało. Jedni utrzymywali, że skoro tylko sekundanci pana de Lerne wiedzieli o niemocy pozostałej w ręce pana de Lerne skutkiem poprzedniego pojedynku, w żaden sposób nie powinni byli zezwolić na walkę w tak nierównych warunkach; inni znów, jak się zdawało bardzo kompetentni, twierdzili, że pierwszym obowiązkiem sekundantów jest spełnić jak najskrupulatniej zlecenia swego mocodawcy, który przedewszystkiem powierza im straż swego honoru, a dopiero, niejako podrzędnie, staranie o ubezpieczenie swego życia.

Postanowiono zatem że pojedynek odbędzie się na szpady, nazajutrz o godzinie trzeciej po południu, w Soignies nad granicą belgijską.

Jakób przyjął na pozór zupełnie spokojnie wiadomość o rezultacie układów, podziękował obu panom za ich przyjacielską usługę, i dodał wesoło: iż i tak spodziewa się szczęśliwie wywikłać z całej tej sprawy, i nakoniec umówiono się że nazajutrz o siódmej rano, czekać ich będzie na dworcu kolei północnej.

Gdy pozostał sam, twarz jego przybrała bardzo poważny wyraz, najzupełniej usprawiedliwiony zbiegiem okoliczności. Skutkiem zbyt może przesadzonego poczucia honoru, nawet przyjaciołom nie wyjawił całej prawdy odnoszącej się ręki w którą był ranny. W rzeczywistości, każde dłuższe nieco nią władanie a szczególniej fechtowanie, wywoływało w niej osłabienie i ubezwładnienie, co w obec tak wytrawnego i silnego przeciwnika jak pan de Maurescamp, stawiało go w bardzo niekorzystnem położeniu. Pan de Lerne rozumiał to bardzo dobrze, widział jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo, i nie tracąc odwagi, zajął się jednak załatwieniem niezbędnych rozporządzeń.

Na szczęście matka jego była dnia tego na jakimś proszonym obiedzie; rad był z tego bardzo, bo choć z jej powodu wiele przecierpiał i przebolał, kochał ją jednak, a ta nieobecność zwalniała go od przymusu jaki w obec niej musiałby zadawać sobie. Lecz wieczorem czekało go jedno jeszcze równie ciężkie przejście. Dnia tego pani d'Hermany wydawała wielki bal, a dawno już umówił się z panią de Maurescamp, że będą na nim oboje; nadto, w południe, spotkawszy się w lasku, przypomnieli sobie wzajemnie że się tam zobaczą. Pan de Lerne uważał, iż dla wielu przyczyn nie może uniknąć bytności na tym balu. Najpierw obawiał się zaniepokoić lub co najmniej zrobić przykrość pani de Maurescamp; jeżli jakaś wieść o jutrzejszym pojedynku już się rozeszła, rozproszy ją sama jego obecność. Ale przedewszystkiem uważał, iż przez wzgląd na dobrą sławę Joanny, powinien zdobyć się na tę odwagę; ponieważ pan de Maurescamp nie żonę ale ex-woltyżerkę podawał za powód pojedynku, pan de Lerne sądził, iż powinien utwierdzić wszystkich w tem przekonaniu, a najlepszym na to środkiem będzie właśnie obecność jego na balu i zwykłe zachowanie się jego względem pani de Maurescamp. I dlatego choć go to bardzo wiele kosztowało, nie wahał się spełnić co mu nakazywała delikatność i uczciwość.

X.

Napisał dwa listy, jeden do matki, drugi do Joanny, a o jedenastej, ubrany i uśmiechnięty, udał się na bal do hotelu d'Hermany. Gospodarz domu, sekundant p. de Maurescamp, zrobił wielkie oczy na widok tego niespodziewanego gościa; pomiarkował się jednak prędko i powitał go jak najuprzejmiej, uznawszy, jak to powiedział później, iż było to postąpienie śmiałe, najzupełniej *chic* (szyk) i dowodzące niezwykłego — żołądka.

Jasno-włosa pani d'Hermany, piękniejsza, posępniejsza, przewrotniejsza niż kiedykolwiek, spostrzegła, że pan de Lerne upatruje kogoś w tłumie; zbliżyła się do niego i rzekła patrząc mu w oczy: — „Na lewo, w oranżeryi... pod wielkiem drzewem palmowem... czyż nie przyznasz pan że jestem bardzo dobra?. .."

Skłonił się poważnie i poszedł we wskazaną mu stronę.

Z salonu do oranżeryi przechodziło się przez dwie arkady, z których jedna przeznaczoną była dla orkiestry. Sama oranżerya był to ogromny i wysoki salon, zastawiony wielkiemi drzewami, najrozmaitszemi kwiatami w przepysznych wazonach i posągami marmurowemi, kryjącemi się wśród zieleni. Pod wielkiemi palmami o rozłożystych liściach, stały kozetki, niskie otomanki, otoczone taboretami i fotelikami, po nad któremi spuszczały się zwoje pnączów, krzewy o lśniących liściach i kielichy białej magnolii. Ciepła, upajająca woń lasów podzwrotnikowych nasycała powietrze; z porozrzucanych tu i owdzie grup rozmawiających, rozchodził się szmer jakby brzęczenie z ula, a podniesione niekiedy głosy, od czasu do czasu zagłuszały orkiestrę.

W jednej z takich grup, pod trzeciem drzewem palmowem, siedziała Joanna de Maurescamp, słuchająca z roztargnieniem grzeczności trzech czy czterech wielbicieli różnego wieku. Gdy Jakób wszedł do oranżeryi, twarz jej rozpromieniała tym miłym, słodkim uśmiechem, jakim kobiety witają dzieci i ukochane osoby — a nie zawsze mężów. Już sam ten uśmiech przekonał Jakóba, iż Joanna nic nie wie o jutrzejszym pojedynku.

Za pojawieniem się hrabiego de Lerne, gwiazdy drugorzędne otaczające dotąd młodą kobietę, zaczęły niknąć powoli, wiedzione zarazem uczuciem zawiści i szacunku, bo choć powszechnie potwarzano przyjazny stosunek łączący go z Joanną, każdy pojedyńczo uczuwał iż zasługuje on na poszanowanie. Zanim odeszli, pan de Lerne wpatrywał się z zachwytem w Joannę jak gdyby ją widział raz pierwszy, tak cudnie wydała mu się piękną. Umiała nosić skromnie, nie zawsze przyzwoite mody dzisiejsze. Ubiór jej i układ włosów był pełen jakiegoś niewysłowionego wdzięku. Stojąc tak naprzeciw tej uro-

czej istoty, promieniejącej zarazem pięknością i wyższem ukształceniem, w sercu Jakóba zrodziło się gorzkie uczucie żalu i gniewu. — Szanował ją jak siostrę, i oto jaka spotykała go nagroda!..

Z bystrą, właściwą kobietom przenikliwością, pani de Maurescamp dostrzegła jakiś niepokojący wyraz w rozpłomienionych oczach przyjaciela; na twarz jej wystąpił lekki rumieniec; zaczęła z pewnem zakłopotaniem poruszać wachlarzem, a nareszcie spoglądając na niego nieśmiało:

— Co panu jest? zapytała; patrzysz na mnie inaczej jak zwykle?

— A! bo nie wiesz pani jak piękną dziś jesteś!.. odrzekł pół głosem.

— O! proszę cię, przyjacielu, nie czyń, nie powtarzaj mi nigdy podobnych spostrzeżeń.. A! jakże nieograniczenie byłabym szczęśliwa, gdybym mogła być pewną że ty nim jesteś!

— Czyż rzeczywiście jesteś pani tak szczęśliwa? zapytał wzruszonym głosem.

— Szczęśliwa! szczęśliwa! po trzykroć szczęśliwa!.. odrzekła z wylaniem... i możesz pan pochlubić się że tobie to zawdzięczam... Są nawet chwile że wydaje mi się to za nadto pięknem, że przeraża mnie ten nadmiar szczęścia.. Bo pomyśl pan tylko, mówiła zniżając nieco głos: kocham i jestem kochana, i mogę być spokojna, bo żaden wyrzut sumienia nie zatruwa teraźniejszości.... nie budzi obaw na przyszłość.... a tak dzięki niebu, i tobie przyjacielu, mogę bez trwogi oczekiwać pierwszej zmarszczki, stającej się postrachem i karą zwykłych miłości. Nietylko starość mnie nie przeraża, ale oczekuję jej z upragnieniem i powitam z radością... bo starsza, stanę się swobodniejszą, nie tak krępowaną formułkami konwencyonalności... nie podlegającą tak łatwo narażeniu dobrej sławy.. Nie raz myślę sobie, jaka byłaby to rozkosz gdybyśmy mogli razem podróżować i podziwiać cuda przyrody — ale aby to było możebnem trzeba abyśmy się zestarzeli oboje!... A! gdybyś wiedział przyjacielu, jak świat dziś już przemienił się dla mnie.. proszę bądź choć trochę dumnym z cudu jakiego dokonałeś! Zdaje mi się że zmieniłeś, podniosłeś i oczyściłeś wszelkie pojęcia moje, całą moją istotę... że nauczyłeś mnie... jakby to powiedzieć? — właściwie pojmować nadziemskie znaczenie wszech-rzeczy, widzieć i rozumieć wzniosłą stronę wszystkiego co istnieje, co uderza wzrok mój i na myśl się nasuwa... Doznaję więc teraz radości nieznanych światu.. rozkoszy niebiańskich!... Nowe jakieś światło rozjaśnia wszystko co mi pod oczy podpada, wszystko nową, nieznaną mi przyodziewa się pięknością... Może to dziecińoften, ale dziś gdy przechadzając się w lasku spojrzałam na drzewa... na które tak obojętnie spoglądałam dawniej — mówiłam sobie: Mój Boże! co to za śliczna rzecz drzewo! jakież ono silne, piękne, jak pełne życia!... I nie ma dziś w przyrodzie nawet źdźbła trawy, któreby nie budziło we mnie podobnych podziwów i uniesień... Jestem pewna.. i pan pewnie to przyznasz — iż wszystko co istnieje na świecie ma dwie strony, — jedną materyalną, pospolitą, otwartą i widoczną dla wszystkich... drugą idealną, ukrytą, będącą tajemnicą i cechą Boga.., i tę to ostatnią dostrzegam wzrokiem jakiś mi odsłonił.. i oto co ci zawdzięczam, przyjacielu!...

Słuchał jej miotany tajemnym niepokojem, jednakże twarz jego przybierała stopniowo coraz słodszy i poważniejszy zarazem wyraz. Nareszcie orzucając ją tkliwem i wzruszonem spojrzeniem, rzekł powoli nieco zmienionym głosem:

— Ach! któżby mógł wątpić, że jest Bóg i życie pozagrobowe.. że dusze nasze są nieśmiertelne... skoro istnieją na ziemi podobne tobie istoty!...

W tem nagle zawołał: Boże mój! co pani jest?

Przestraszył się niewymownie zobaczywszy że twarz pani de Maurescamp marmurową pokryła się bladością, a wzrok utkwił w przestrzeni jakby w przerażające zapatrzony widziadło. Zwrócił oczy w tę stronę i zobaczył pana de Maurescam stojącego we drzwiach prowadzących do oranżeryi,—wpatrywał się w nich groźnie, a wyraz twarzy jego zdradzał tak gwałtowne, graniczące z szałem uniesienie gniewem, iż pan de Lerne wstał prędko przewidując natychmiastowy wybuch gwałtowności.

P. de Maurescamp postąpił ku nim wolnym krokiem, walcząc widocznie z nieprzepartem niemal rozkiełznaniem gwałtownego gniewu; jednak spostrzegłszy ze wszech stron zwrócone na siebie oczy, oraz pod wrażeniem milczenia jakie nagle nastało w salonie, zdołał zapanować nieco nad sobą, i stanąwszy przed żoną rzekł tylko głuchym, chrapliwym głosem: „Chodź, syn twój zachorował!"

Joanna krzyknęła:—O Boże! co mu się stało?..... i zadała mężowi kilka prędkich zapytań, ale poznawszy niebawem z jego miny i zawikłanych odpowiedzi że choroba dziecka była tylko jakimś pozorem, poszła za nim nic nie mówiąc:

Ukazawszy się zaledwie w teatrze Opery, pan de Maurescamp powrócił zaraz do klubu, i tam dowiedział się przypadkiem o obecności hrabiego de Lerne na balu u państwa d'Hermany, — a wiedział że i żona jego być tam miała. Pozbawiony wszelkiego poczucia delikatności, której nie miał w sercu, nie domyślał się nawet zaszczytnych pobudek jakie kierowały postępowaniem pana de Lerne. Widział w tem tylko zuchwałe brawowanie, w którem i żona jego brała udział, i udał się natychmiast do pałacu d'Hermany bez określonego zamiaru, miotany nienawiścią i wściekłością, nie mającemi cofnąć się przed żadną ostatecznością, nawet przed skandalem. Jak to powiedzieliśmy, dzięki iskierce zastanowienia, wywołany przez niego skandal nie był rażącym — w każdym jednak razie aż nadto dostatecznym, aby w ciągu jednej minuty pokryć niesławą i jego i żonę.

XI.

Podczas gdy wiadomość o tak nagłem porwaniu pani de Maurescamp przez męża, rozchodziła się z salonu do salonu, wywołując szepty i śmiechy, pan de Maurescamp siedział w karecie obok żony.

Jak tylko zostali sami, ani wspomniał o synu; to jego milczenie i dziki wyraz twarzy, żadnej nie pozostawiały wątpliwości nieszczęśliwej kobiecie. Niepodobna określić miotających nią cierpień i niepokoju: było to zarazem ubezwładniające osłupienie, istoty ugodzonej piorunem w pełni życia, w pełni szczęścia, w pełni niewinności; bolesne oburzenie uczciwej kobiety znieważonej publicznie; nieokreślone pojęcie jakiejś nieznanej, blizkiej i strasznej katastrofy. Miotana niewysłowionym niepokojem, oczekiwała daremnie żeby mąż coś przemówił; przez całą, dość krótką, zresztą drogę z ulicy Gabriel na ulicę Alma ani jednego słowka nie zamienili z sobą.

Jednakże, z natury silnym obdarzona charakterem, Joanna zaczęła powoli wyzwalać się z chaosu wrażeń i uczuć, jakie zaskoczyły ją niespodziewanie. Pewnym krokiem przeszła przedsionek pałacu w którym oczekiwało trzech czy czterech lokai, i milcząc weszła na schody; dopiero wszedłszy na pierwsze piętro, gdzie znajdował się jej apartament, i zobaczywszy że mąż mieszkający na drugiem zamierza minąć ją i tam się udać, rzekła:

— Proszę wejść do salonu, musimy się rozmówić.

Zawahał się chwilę. Jak większa część mężczyzn nie lubił tłomaczeń, ale że był to charakter raczej gwałtowny niż silny, więc choć gorzej jeszcze rozzłoszczony, uległ spokojnemu i stanowczemu głosowi z jakim żona wypowiedziała swoje żądanie. — Z gniewem wszedł do jej salonu; zamknąwszy za nim drzwi, przeszła do buduaru poprzedzającego jej sypialnię, i tam odwracając się i patrząc mu w oczy zapytała:

— Proszę powiedzieć nareszcie, co to wszystko znaczy?

— Znaczy że jutro rano zabiję twego kochanka.

Głośno złożyła ręce i jakby obłąkana patrzyła na niego z pół otwartemi ustami.

— Dość już długo, rzekł klnąc i wpadając w coraz gwałtowniejszy gniew, własnemi podniecany słowami — dość już długo wyzywacie mnie zuchwale i znieważacie oboje.... okrywacie śmiesznością.... raz położę temu koniec!

— Nieszczęsny szaleńcze! rzekła łagodnie. Nie mam żadnego kochanka!... Ale cóż znaczą twoje słowa?... chcesz wyzwać pana de Lerne?

— Nie potrzebuję już wyzywać go, odrzekł tonem grubiańskiej napuszoności — wszystko załatwione, pojedynek odbędzie się jutro rano.

Młoda kobieta załamała ręce i wydała głuchy okrzyk boleści. Zdawało się iż mąż sam zawstydził się swej brutalności, gdyż dodał prędko, prawie jąkając się:

— Ma się rozumieć że nie miałem zamiaru zawiadamiać cię o tem... nie jest to moim zwyczajem.. ale chciałaś... zmusiłaś mnie... popchnęłaś do ostateczności. A nadto on także dopełnił miary dziś wieczorem... Zalecać się publicznie do żony z której mężem ma się pojedynkować nazajutrz... to niegodne porządnego człowieka... to nikczemnie!...

— Pan de Lerne, odrzekła stanowczo, ani dziś wieczór, ani nigdy nie zalecał się do mnie — przynajmniej tak jak ty to pojmujesz... jeźli więc honor twój jest narażony, to tylko przez ciebie... Twój pojedynek z nim byłby niczem nieusprawiedliwionem szaleństwem.. złym czynem... zbrodnią.. gdyż przysięgam na Boga... na życie naszego syna... nigdy nie był dla mnie nic więcej jak przyjacielem.

— A! ma się rozumieć, odrzekł przedrwiwając. No, ale zdaje mi się nietylko dość, ale nadto już tego!.. I kilka kroków ku drzwiom postąpił.

Zastąpiła mu drogę.

— Ach! nie!... proszę cię, błagam, nie odchodź jeszcze! zawołała. A! gdybyś wiedział jak okropnem jest dla kobiety... która cierpiała... walczyła i może nawet zachwiała się chwilę... a jednak mimo to została uczciwą, wierną i nieskalaną.. widzieć się nietylko już posądzoną, ale skazaną i ukaraną... ukaraną tak okrutnie i niesprawiedliwie. Gdybyś mógł pojąć co się wtedy dzieje w sercu i w głowie tej nieszczęśliwej... gdybyś się zastanowił do czego możesz mnie popchnąć, takiem odmawianiem mi wszelkiego choćby uznania... i traktując mnie — co najwięcej nierozważną — jak gdybym była najwystępniejszą.

— Ach! dość tego! — zawołał szorstko i chcąc odejść.

Zatrzymała go i lekko odciągnęła od drzwi. — Wsparł się o kominek zły i kwaśny.

— Znasz równie dobrze jak ja, mówiła, dzieje smutnego naszego pożycia. Miłość twoja dla mnie minęła bardzo prędko... może i z mojej winy że nie umiałam ci się podobać... ale cóżem winna że mieliśmy tak sprzeczne upodobania—co tylko robiłam, co tylko lubiłam, ciebie gniewało i nudziło... Na-

reszcie opuściłeś mnie, szukając za domem rozrywek i przyjemności... to rzecz bardzo zwykła... Czułam, że nie mam prawa się uskarżać, skoro nie umiałam cię zatrzymać w domu... Ale wspomnij tylko sobie, mój przyjacielu, ile tak lat minęło, i jak młodziutką byłam wówczas... wtedy to, przyznaję ci, nie jedno groziło mi niebezpieczeństwo. Zostawiona sama sobie, zniechęcona, rozdrażniona, bez poparcia i opieki... otoczona złemi przykładami, narażona na najgorsze wpływy, na najzgubniejsze rady... podniecana najprzewrotniejszemi poszeptami i zabiegami ludzi których nie podejrzywasz wcale.. był czas, iż o mało nie stałam się kobietą bez serca, bez uczciwości... Przyjaźń tylko ocaliła mnie od upadku... ta właśnie czysta przyjaźń, którą zarzucasz mi jak zbrodnię... Pan de Lerne był dla mnie..

— Bratem!... dodał z wyrazem obelżywego szyderstwa.

— A więc tak! odrzekła unosząc się,—to pewna, iż jemu winna jestem moje ocalenie... Gdy już miałam oddać się z zamiłowaniem płochym i lekkomyślnym uciechom świata, wstąpić na drogę szybkim krokiem wiodącą do upadku — on wzbudził we mnie, czyli raczej powrócił mi dawne wzniosłe upodobania i skłonności. I może jemu tylko zawdzięczasz że żona twoja została uczciwą kobietą... I chcesz go zabić!.. powiedz jestżeż to sprawiedliwie, jestże to uczciwie?...

— Sprawiedliwie czy nie, możesz być pewna, że zrobię wszystko co tylko będzie w mej mocy, aby mu śmierć zadać.

— Wielki Boże! zawołała, cóż za człowiek jesteś jeźli mi nie wierzysz.. lub jeźli wierząc trwasz w niczem nieusprawiedliwionych zamiarach zemsty i nienawiści!.. Ale nie! nie!... nie przestanę odwoływać się do twego rozumu, uczciwości i sumienia... Słuchaj... Bóg mi świadkiem że nie chciałabym cię obrazić... ale w takiem jak nasze pożyciu... w podobnem jak moje położeniu... cóż pozostaje kobiecie w której duszy zobojętniłeś wiarę i przekonania religijne, zniechęciłeś do nauk, poezyi i sztuki?... co ma robić z czasem, z sercem i myślą, czem zająć i zapełnić swoje życie?... Ja nie wyrzucam ci kochanek.. ty przynajmniej nie pozbawiaj mnie przyjaciół...

— A! czegóż to domagasz się nareszcie! krzyknął pan de Maurescamp, czyż żądasz — co już byłoby za wiele — abym poszedł do pana de Lerne, wyciągnął do niego rękę, przeprosił, zanosząc zarazem pokorną prośbę aby nie raczył zrywać łączącego was stosunku?

— Tak, odrzekła z mocą... tego właśnie żądam—ma się rozumieć z wyjątkiem przepraszania—a prosząc o to, nie domagam się niczego coby nie było słusznem, rozumnem i uczciwem... bo zresztą jest to jedyny sposób wynagrodzenia krzywdy jaką zadałeś zarazem swojej i mojej sławie... jedyny środek zniweczenia potwarzy jakie mogły się wytworzyć... którym dzisiejsze twoje zachowanie się mogło nadać jakąś cechę prawdopodobieństwa, a pojedynek ten stałby się niezawodnie uświęceniem... Jeźli zdobędziesz się na to aby oddać sprawiedliwość swojej niewinnej żonie — wszyscy ci uwierzą — bo prawda ma swoją moc nieprzepartą — a co do mnie, o! mój przyjacielu, nie masz pojęcia jak głęboko mnie to wzruszy, jak nieskończenie będę ci wdzięczną... jak starać się będę dowieść ci tego, szanując odtąd po bożnie każdą chęć, każdą najlżejszą drażliwość twoją... na co może dotąd nie dość zwracałam uwagi... Kto wie czy tak szlachetne postąpienie twoje, nie stałoby się nowym łączącym nas węzłem?... Może serca nasze, wypróbowane życiem, nauczone doświadczeniem i przebytemi cierpieniami... może zbliżyłyby się do siebie... a może nawet — a zapewniam cię iż to już zależałoby tylko od ciebie... może ty sam stałbyś się odtąd dla mnie... czembyś był zawsze być winien... moim najlepszym.. moim jedynym przyjacielem!

— Wszystko to zapewne bardzo piękne, odparł pan de Maurescamp, nadymając się i wystawiając szyję, ale to tylko romans... A! zawsze ten marny romantyzm, który was wszystkie gubi!

— O Boże! Boże! zawołała z płaczem biedna kobieta,—czegóż chcesz nareszcie? mówiła unosząc się i załamując ręce. Dlaczegóż dotąd nie powiedziałeś mi iż nie podoba ci się mój stosunek z panem de Lerne.. Czegóż wymagasz teraz? abym przestała go przyjmować... abym nigdy go nie widywała i nigdy ani słowa nie przemówiła do niego... abym ci poświęciła tę przyjaźń moją... i nigdy żadnej innej nie zawierała w przyszłości?..., Dobrze, zgadzam się na to.... przyrzekam ci... przysięgam.. będę odtąd wieść życie samotne... nie wyjdę nigdzie bez ciebie.... Z resztą synek nasz podrośnie... zajmę się nim wyłącznie... dziecię to stanie się moim przyjacielem... Czuję że to jest możebnem... i przysięgam ci że dotrzymam słowa... ale błagam cię, zaklinam! przez litość, zaniechaj tego pojedynku, który nie ma najlżejszego powodu, najmniejszej przyczyny i byłby czemś potwornem, ohydnem!.. Patrz, przyjacielu, na kolanach błagam cię o to!..

I padła mu do nóg zanosząc się od płaczu.

— Zaklinam cię ze złożonemi rękami... z głębi serca... siłą palących łez moich... bądź dobrym.... bądź szlachetnym... nie przyprowadzaj mnie do rozpaczy!...

— Aha! krzyknął odtrącając ją, otóż mamy melodramat!

Zerwała się prędko, otarła śpiesznie oczy i silnie pochwyciła go za ręce.

— A! nieszczęsny! zawołała głuchym głosem.. sam chyba nie wiesz co robisz... do czego mnie popychasz.... nie powiem ci że mnie zabijasz — toby nic nie było—wtrącasz mnie do piekła!

I puszczając ręce jego, dodała: Możesz odejść.. Żegnam!

Pan de Maurescamp wyszedł.

Po wyjściu męża, Joanna jak bezprzytomna rzuciła się na dywan, z suchemi oczami, z osłupiałym wzrokiem, poruszając rękami jak obłąkana. Ze stanu tego wyrwało ją lekkie zapukanie do drzwi. Podniosła się prędko; weszła panna służąca.

— Proszę pani, rzekła, pani de Lerne czeka w powozie i zapytuje czy może wejść na chwilkę.

— Pani de Lerne!

— Tak pani.... może powiedzieć że pani jest cierpiąca.. pani baronowa taka zmieniona.

— To nic, proś pani de Lerne.

Hrabina weszła po upływie paru minut; — wzrok jej był błędny, twarz pozieleniała, wszystkie muskuły ściągnęły się konwulsyjnie. Nie widząc wielkiej zmiany zaszłej w twarzy Joanny, postąpiła ku niej sztywnym krokiem widma, i rzekła patrząc jej w oczy:

— Mąż twój ma jutro pojedynkować się z moim synem.

— Wiem, odrzekła Joanna, powiedział mi to.

— Ach! rzekła z goryczą stara hrabina, powiedział ci... nędznicy tylko tak postępują!

— O! tak, odrzekła Joanna; ale zkądże pani wiesz o tem?

— Dowiedziałam się od Ludwika, starego sługi mego syna, który domyślając się czegoś, podsunął się pode drzwi i wysłuchał rozmowy sekundantów.

— Wiesz pani zapewne, że między mną a synem pani nie istniał żaden naganny stosunek?

Co prawda była to wiadomość całkiem niepojęta dla starej hrabiny, i w pomieszaniu swojem nie umiała ukryć naiwnego zadziwienia.

— Ależ kiedy tak, rzekła, więc żadnych nie ma dowodów!

— Jakich i czego, skoro nic nie zachodziło? odpowiedziała Joanna.

— I mąż twój nie chciał ci wierzyć?

— Nie.

— Więc.. żadnej nie ma nadziei?

— Żadnej!

Pani de Lerne padła na fotel i pozostała tak nieruchoma, niema, bezwładna.

Po kilku chwilach milczenia, Joanna, która wielkiemi krokami chodziła po pokoju, zatrzymała się przed nią:

— Syn pani jest u niej? zapytała.

— Tak.

— Powóz pani czeka na dole, rzekła; więc jedźmy... pojadę z panią... chcę go zobaczyć.

Mówiąc to włożyła futro i zarzutkę na głowę.

Pani de Lerne powstała, niepewna co czynić.

— Może to będzie nieostrożność? wyszeptała.

— A cóż już gorszego stać się może! odrzekła Joanna — i pociągnęła hrabinę.

Pani de Lerne mieszkała przy ulicy Montaigne, zatem droga bardzo krótko trwała. Pani de Lerne opowiedziała Joannie przerywanemi słowami wszystko co wiedziała, to jest pozorną przyczynę pojedynku, nazwiska świadków, wybór broni, godzinę i miejsce spotkania.

Było około pierwszej w nocy, Jakób kończył ostatnie rozporządzenia, gdy wtem drzwi biblioteki jego otwarły się nagle i z niewysłowionem zadziwieniem ujrzał wchodzącą panią de Maurescamp.

— Pani, zawołał, pani!... O! Boże mój! czyż to być może.

— Tak... matka pana i ja dowiedziałyśmy się o wszystkiem... odpowiedziała drżąca, i przyszłam... chciałam przyjść... i jestem.

— I matka wie także! wyszeptał; a cóż to za smutek i zmartwienie... Ale, biedna, kochana przyjaciółko, pocóżeś przyszła... to może cię zgubić.

— Wiem o tem, odrzekła z boleścią, padając na krzesło, ale chciałam koniecznie cię zobaczyć.

Głośnem zanosiła się łkaniem.

— Kochana pani... biedne dziecię, rzekł łagodnie biorąc jej rękę, uspokój się, proszę cię, i co prędzej wracaj do siebie.... nie martw się tym pojedynkiem, przekonasz się że nie pociągnie za sobą zbyt groźnych następstw... Pojedynek na szpady między dwoma prawie równie dobrymi szermierzami, zazwyczaj nie bywa niebezpiecznym.

— A! on cię tak nienawidzi!

Łzy głos jej tłumiły.

— Ach! więc wszystko, wszystko się skończyło... O! Boże mój, Boże! cóż to za straszna niesprawiedliwość!...

— Drogie moje dziecię, rzekł, odejdź już, proszę cię.... wszak nie chciałabyś w tak ważnej chwili pozbawiać mnie spokoju... Powiedz matce mojej, że błagam ją, aby była spokojna ... że nie ma cienia niebezpieczeństwa... tak, cienia nawet..! jeźli tylko rozpaczą swoją nie pozbawi mnie zimnej krwi.

— A więc żegnaj mi, żegnaj! zawołała wstając... Miłość nasza była wielka i czysta!

— Tak, moje dziecię!

Chwilkę popatrzyła na niego w milczeniu; potem pochylając ku niemu głowę, rzekła:

— Złóż pocałunek na mojem czole... jeźli masz

zginąć — niech przynajmniej jakikolwiek będzie powód.

Dotknął ustami jej włosów; potem wziąwszy pod rękę wyprowadził do schodów.

— Wracaj co prędzej do siebie! rzekł całując obie jej ręce.

I rozstali się.

XII.

Pani de Maurescamp powróciła natychmiast do siebie w towarzystwie pani de Lerne. Nieobecność jej bardzo krótko trwała; służba nie widziała w tem nic niezwykłego — tak więc mąż nie dowiedział się o jej nierozważnym postępku.

Złamana boleśnem wzruszeniem, zdrzymnęła się około piątej rano, lecz niebawem przebudził ją jakiś szmer dochodzący z wyższego piętra; słychać było krzątanie się i odgłos kroków; zrozumiała iż mąż, z pomocą kamerdynera, robi przygotowania do odjazdu. Nieco później dał się słyszeć turkot powozu na bruku dziedzińca, ucichał stopniowo, nareszcie zaginął w oddali — odjechał.

Wstała z łóżka — głowa jej pałała. Otworzyła okno wychodzące na ogród pałacowy i stanęła wsparta o jego ramę. Niebo, chmury, rozwijające się liście, przybierały w jej oczach jakieś dziwne, fantastyczne kształty; słyszała z oddali świergot wróbli, witających radośnie jutrzenkę pięknego dnia wiosennego.

Ocknąwszy się nagle z posępnej zadumy, przeszła do pokoju syna, aby, jak codzień, być obecną przy jego ubieraniu. Przeciągała to zajęcie jak mogła najdłużej, aby jak najdłużej módz się łudzić iż wszystko idzie jak zwykle. Po upływie paru godzin, nie mogąc znieść samotności wśród tak strasznego niepokoju, postanowiła napisać do matki. Przez miłość dla tejże długo wahała się z powierzeniem jej strasznych przygniatających ją cierpień, ale w końcu uczuła że obłęd ją ogarnia. Wtedy w kilku wierszach zawiadomiła panią de Latour-Mesnil o wszystkiem co zaszło, i natychmiast list posłała.

Jeźli od tak dawna nie wspominaliśmy nic w tej opowieści o matce Joanny, to jedynie z powodu iż nie było nic do powiedzenia, czegoby czytelnicy nie odgadywali sami. Teraz dodamy tylko: pani de Latour-Mesnil dogorywała powolnie, dzięki *świetnemu wydaniu za mąż córki*. Dotknięta była chorobą wątroby i silnie rozwiniętą chorobą sercową. Jakkolwiek przez przywiązanie do matki, Joanna nietylko najmniejszych nigdy nie czyniła jej wyrzutów ale nawet i zwierzeń, jednakże pani de Latour-Mesnil za nadto była kobietą, za nadto matką, za wiele sama wycierpiała w pożyciu z mężem, aby mogła długo powątpiewać o smutnej prawdzie, i gorzko opłakiwała i wyrzucała sobie nieszczęsne zaślepienie i próżność, skutkiem których skazała córkę na tak smutną, gorszą od swojej dolę. Teraz dopiero pojmowała, iż pomimo najlepszych chęci źle i niepraktycznie wychowała córkę. Nie zastanawiając się iż Joanna ma żyć w świecie, w którym co krok napotykać będzie złe przykłady i podniety popychające ją do zguby; w towarzystwie, w którem wszystko zasadza się na pozorach; wśród ludzi jeźli nie ogólnie złych, to przynajmniej krępowanych formułkami konwencyonalności, zmuszających do nieszczerości i obłudy — nie przygotowała jej do walki ze światem i z sobą samą, i zamiast wpoić przekonanie, iż doskonałego szczęścia nie ma na ziemi, a drogi życia częściej cierniem nie różami bywają zasłane; że ludzie nie są wymarzonymi ideałami i doskonałości od nich wymagać nie można; że prawdziwa cnota i zasługa kobiety na tem właśnie zależy, żeby w najsmutniejszej doli umiała mężnie stawić czoło cierpieniu i pokusom, pod najcięższem nie upadając brzemieniem — wychowała córkę tak jakby i sama była czystym duchem i żyć miała między aniołami. Przedewszystkiem należało wpoić w córkę przekonanie, iż nie dość aby kobieta nie zboczyła z drogi cnoty, ale powinna jeszcze najstaranniej unikać wszystkiego co mogłoby rzucać na nią choćby cień podejrzenia, tak dlatego że ludzie bardzo skłonni są widzieć złe tam nawet gdzie ono nie istnieje, jakoteż i z tej przyczyny iż kobieta nie szanująca pozorów, stoi na bardzo ślizgiej i pochyłej drodze, wiodącej najczęściej do niechybnego upadku. Pani de Latour-Mesnil czuła teraz, że zawiniła nieoględnością i w wychowaniu córki i wydaniu jej za mąż, cierpiała nad tem niewymownie i moralne to cierpienie wywołało chorobę popychającą ją do grobu. Boleść jej zwiększała jeszcze straszna obawa czy Joanna wytrwa na drodze cnoty; i jedynym dniem szczęśliwym jaki zaznała od lat wielu, był ten, w którym młoda kobieta widząc niepokój matki z powodu jej przyjaznych stosunków z panem de Lerne, rzuciła jej się na szyję, mówiąc:

— Patrz, matko droga, jak śmiało przyciskam cię do serca... a mogłażbym odważyć się na to gdybym była występną.

Pani de Latour-Mesnil dopiero z listu Joanny dowiedziała się o pojedynku pana de Maurescamp z hrabią de Lerne, i niezwłocznie przybyła do niej, było to około południa. Z początku więcej płakały niż rozmawiały; powoli jednak Joanna ochłonąwszy nieco, mogła odpowiadać na zapytania matki i nawet znajdowała pewną ulgę opowiadając, o ile wiedziała, okoliczności towarzyszące wyzwaniu, zajście na balu, scenę z mężem po powrocie do domu, i nawet owo szalone odwiedzenie Jakóba de Lerne w domu jego matki.

Wypowiedziała wszystko z gorączkowym pośpiechem, już to siadając, już chodząc po pokoju, rzucając nieustannie szybkie i niespokojne spojrzenia na zegar stojący nad kominkiem. Wiedziała że pojedynek miał się odbyć o trzeciej. Im więcej zbliżała się fatalna ta godzina, tem stawała się niespokojniejszą i milczącą; szybszym krokiem chodziła po pokoju, gorączkowy rumieniec na twarz jej wystąpił, usta szeptały chwilami oderwane, dziecinne prawie frazesa:—Och! matko!... biedna moja matko!.. cóż to za okrucieństwo!... co za nędzota!... co za niesprawiedliwość!... mój Boże! co za straszna niesprawiedliwość!....

Przestraszona tym stanem graniczącym z obłędem, matka chciała przeprowadzić Joannę do jej pokoju, mówiąc:—Chodź dziecię moje... chodźmy się modlić....

— Modlić! przerwała prawie szorstko — i za kogóż, matko, każesz mi się modlić — za męża czy za niego?... mamże być obłudną... czy zbrodnicze zanosić modły?...

— Ach! módl się za twoją nieszczęśliwą matkę, tak potrzebującą przebaczenia!.. zawołała pani de Latour-Mesnil, osuwając się na kolana i ukrywając twarz w dłoniach.

— Matko! matko ukochana! zawołała Joanna podnosząc ją i gwałtownie przyciskając do serca, nie potrzebujesz przebaczenia... czyż i ja sama nie zawiodłam i nie omyliłam się także.

— A! tobie wolno było się omylić — ale mnie nigdy!... Jako matka, byłam twoim doradzcą i przewodniczką; znałam świat i życie... Ach! jak ciężko, jak strasznie zawiniłam, nie umiejąc lepszego zrobić wyboru, i olśniona świetną niby partyą, zgotowałam ci nieszczęście całego życia... A tak godną byłaś szczęścia!... tak szlachetną i uczciwą... i oto do czego cię doprowadziłam!...

— Ależ, matko, wszak nie przestałam być uczciwą kobietą, odpowiedziała Joanna z roztargnieniem.

I nagle, podnosząc palec, pokazała na zegar — pokazywał trzecią godzinę. Dziwny, niepojęty uśmiech wykrzywił usta Joanny. Wziąwszy matkę pod rękę zaczęła milcząc chodzić z nią po pokoju: tylko od czasu do czasu głębokie westchnienie wydzierało się z jej piersi.

Po upływie kilku minut, rzekła do matki:

— Teraz zapewne już się skończyło, bo podobno w pojedynkach zachowuje się jak najściślejszą punktualność, i zdaje się nie trwają długo... ale jakże to okropnie iż nic się nie dowiemy przed upływem dwóch lub trzech godzin... Matko, może potępisz moje postąpienie... ale od kogóż miałam zasięgnąć wiadomości... Nie byłam w stanie czekać do jutra... a naturalnie pan de Maurescamp nic mi nie doniesie... I dlatego prosiłam Ludwika, starego sługi pana de Lerne, który pojechał ze swym panem, aby mi doniósł telegrafem jak będzie mógł najśpieszniej, jaki będzie rezultat pojedynku.

Znękana nad wszelki wyraz, pani de Latour-Mesnil odpowiedziała tylko niepewnem skinieniem głowy.

W tejże chwili z sieni dał się słyszeć dzwonek komunikujący z izdebką odźwiernego; ponieważ od rana zapowiedziano aby nie przyjmować nikogo, ta zapowiedź odwiedzin musiała zadziwić. — Jakto, już!... wyszeptała Joanna przysuwając się prędko do okna wychodzącego na dziedziniec, — już!... ależ to niepodobna!... Odsłoniwszy roletę, we wchodzącym na schody peronu poznała profesora fechtunku, nazwiskiem Lavarède, który przychodził trzy razy w tydzień fechtować się z panem de Maurescamp. Nadzwyczaj dbały o tę jedyną umiejętność jaką posiadał, baron de Maurescamp nie przestając na jak najregularniejszem uczęszczaniu do sali fechtowania, chciał jeszcze fechtować się w domu, może i dlatego aby nie zdradzać publicznie tajemnicy swoich sposobów.

Pojawienie się tego człowieka w tej właśnie chwili, zadziwiło i przestraszyło obie kobiety. Rzuciły sobie nawzajem pytające spojrzenia, gdy wtem wszedł służący.

— Proszę pani, przyszedł pan profesor Lavarède, który nic nie wiedział o wyjeździe pana barona, pyta się jak prędko pan baron powróci i czy ma przyjść pojutrze, czy czekać wezwania?

— Powiedz żeby czekał zawiadomienia.

Służący wyszedł. Po chwili namysłu, Joanna przywołała go.

— Auguście, rzekła krótko, pomówię sama z panem Lavarède... poproś go do sali jadalnej — Zaraz tam przyjdę.

— Chodź ze mną, matko droga, chcę pomówić z tym panem... później przejdziem do ogrodu.. powietrze nas orzeźwi... czas prześliczny.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 21.

(Dokończenie).

Podkładanie kanwy pod wyszycie tak skomplikowane, jest bardzo trudne dla tego najlepiej dobrać na tło materyał w którym nitki są bardzo widoczne. Każdy krzyżyk zajmuje cztery nitki w kwadrat. Rycina 35 przedstawia szlak odpowiedni do serwety ryc. 36; dolny brzeg zakończony rzędem dziergania dzielonego w grupy po trzy ściegi.

N. 38. Kołnierz z gładkiej materyi.

Kołnierze takie są obecnie bardzo modne, robią je gładkie lub marszczone (jak na ryc. 37), garnirowane koronką fabryczną lub też wywodzoną ręcznie na tiulu nitką złotą na tle czarnem, lub kolorowemi jedwabiami na tiulu białym lub czarnym. Rycina 13 przedstawia wzór koronki wywodzonej na tiulu jedwabiem cieniowanym lub tureckim kolorowym i nitką złotą. Wiązanie frendzelki brzeżnej objaśnia ryc. 13. Kołnierz przedstawiony na ryc. 38 uszyty jest formą marynarską z materyi podłożonej sztywnym muślinem; wykrój szyi wszyty w pasek 2 cent. szeroki. Kokarda dodana jest z prostych końców po 65 cent. długich, a 21 szerokich.

N. 39—40. Fotel ozdobiony haftem.

Wyrzeźbiony jest z drzewa dębowego i ozdobiony tarczą z herbem; pokrycie haftowane jest na pluszu oliwkowym kolorowemi jedwabiami. Na ryc. 40 podaliśmy w zmniejszeniu ładny deseń haftu. Wysłanie i przyozdobienie fotelu kolorowemi kwaścikami wskazuje ryc. 39.

N. 45 i 18. Suknia z przemarszczonym plastronem.

Odrobiona z materyału wełnianego piaskowego w pasy, zdobna atłasem i aksamitem tegoż koloru, u dołu spódnicy dany garnirunek 38 cent. szeroki z falbany i bufek atłasowych. Upięcie tunikowe z przodu sukni składa się z dwóch części skrzyżowanych z sobą z boku, z tyłu zaś dopełnionych krótkim podpiętym brytem zakończonym 40 cent. szerokim wolantem, ułożonym w kontrafałdy. Stanik z materyału w pasy ma atłasowy przemarszczany plastron formą bawetową, przepinany kokardami z atłasowej wstążki $2\frac{1}{2}$ cent. szerokiej. Kołnierz wykładany i dolne zakończenie baskiny dane z aksamitu Rękawy trzymają środek między szerokiemi i wązkiemi; poniżej łokcia przecięte na 8 cent. ozdobione mankietem aksamitnym i dopełnione bufką z muślinu indyjskiego; rycina 18 przedstawia oddzielnie takiż rękaw.

N. 46. Stanik z przybraniem szmizetkowem.

Rycina 46. przedstawia bardzo strojną toaletę z czarnego jedwabnego repsu przykrytą gazą w rzucik złoty i kolorowy jedwabny; wspaniały garnirunek stanowi koronka chantilly, 8 cent. szeroka i kosztowna pasmanterya z perełek. Z przodu sukni dane upięcie z dwóch brytów przerzuconych poprzecznie; z tyłu na trenie rzucone są bryty proste podpięte fantazyjnie i przybrane wachlarzowo fałdowaną koronką. Stanik z krótką baskiną oszytą koronką i pasmanteryą, ma dodane szmizetkowe przybranie z jedwabnego deseniowego tiulu, podwleczonego ponsowym atłasem. Rękawy pół-długie zakończone koronką plisowaną i fałdowaną wachlarzowo. Kokardy z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

N. 47. Suknia z gładkiem vêtement dla panienki lat 12—15.

Gładkie fartuszkowe vêtement, kraje się w jednym ciągu bez przecinania, na ramionach i z boków zapinane jest trzema patkami. Rycina 47 przedstawia suknię odrobioną z granatowego kaszmiru, z gładkim stanikiem i spódnicą plisowaną; na vêtement użyty kaszmir bladoniebieski w deseń adamaszkowy z ciemną podszewką bordeaux. Przybranie vêtement stanowi żółtawa torsada przerabiana złotem, 6 cent szeroka; zamiast paska sznur jedwabny z kwastami.

N. 48. Suknia z upięciem nakształt szarfy.

Suknia princesse odpowiednia dla młodej osoby, przybrana jest nowego rodzaju upięciem, opasującem suknię nakształt szarfy. Między wiosennemi i letniemi materyałami tegorocznemi, łatwo wybrać materyał gładki i w pasy kolorowe, użyty na suknię i na upięcie. Wielki marynarski kołnierz płócienny i mankiety wyłożone na rękawy, ogarnirowane koronką i wyszyte szlaczkiem krzyżykowym.

N. 49—52. Uczesanie w loki, chusteczka szalowa i naszyjnik.

Uczesanie przedstawione na ryc. 49, odpowiednie dla młodej osoby, nadaje się do niewielkich własnych włosów, które potrzeba rozdzielić poprzecznie wierzchem głowy; tylną połowę związuje się o ile można najwyżej, a następnie dzieli na promienie i układa w loki fryzując na żelazku. Włosy pozostające z przodu odwinięte są do tyłu gładko lub lekko skarbowane, i przypięte z boków ozdobnemi grzebykami.

Chusteczka koronkowa upięta jest z pięknego, kosztownego szalika koronkowego, w żółtawym kolorze, przechowanego po babce lub prababce, którego końce fantazyjnie przerzucone z boku, spięte bukietem kwiatów.

Naszyjnik, którego część przedstawia w naturalnej wielkości ryc. 52, wyszyty jest na czarnej aksamitce perełkami stalowemi i złotemi i cienką nitką złotą.

N. 53. Kapotka z ażurowej słomki

Czarna ażurowa kapotka, podszyta blado-żółtym atłasem, przybrana jest atłasem koloru oliwkowo-zielonego i bronzowego, przy których ładnie odbija bukiet z zielonych jasnych liści, pączków róż ponsowych i żółtych pierwiosnków. Końce do wiązania 68 cent. długie, 14 szerokie są z materyi bronzowej złożonej podwójnie; rondko podszyte takąż materyą z wypustką żółtą. Jedną stronę przybrania kapotki widzimy na ryc. 53, z drugiego zaś boku spadają gałązki kwiatu rezedy.

N. 54. Berecik z angielskiej słomki. Patrz ryc. 20 w N-rze 20.

Szeroko za rondko wysunięta płaska główka berecika z jednego boku przypięta jest do rondka motylem stalowym i przez to spuszczona spadzisto. Blado-żółty atlas namarszczony w bufę z dwoma nagłówkami 7 cent. szeroką przykrywa rondko; kokardy ułożone podług ryc. 54 tudzież 20 w N-rze 20 z wstążki atłasowej 5 cent. szerokiej. Bukiet z pączków różanych, ponsowych i żółtych i z liści.



N. 1—3. Ubrania spacerowe i podróżne.

N. 1. Suknia z krótką pelerynką. Patrz ryc. 10. Krój draperyi na arkuszu N. XX, fig. 82. N. 2. Płaszczyk podróżny. Krój i opis na arkuszu N. II, fig. 10—13a. N. 3. Ubranie dla dziewczynki. Patrz ryc. 22.

Opis do N-ru 23.

N. 1 — 3 i 10. Ubrania spacerowe i podróżne.

N 1 i 10. Ubranie z krótką pelerynką. Krój draperyi na dodatku z formami N. XX Fig. 82. Krój pelerynki jak do ryc. 21 — 22 w N. 18 Tygodnika.

Model ubrania z pelerynką, odrobiony był z zielonawo-popielatego beżu, a przybrany aksamitem i atłasem takiegoż koloru. Stanik z długą baskiną, oszyty u dołu plisą atłasową 7 cent. szeroką, a końce przodów podszyte aksamitem i wywinięte na ranwers 9 cent. szeroki; plecy na wcięciu w stanie kilka razy przemarszczone, w górze i w baskinie były w drobne fałdki ułożone. Spódnica oszyta u dołu szeroką plisą aksamitną i dwoma wązkiemi plisowanemi falbankami, na ten garnirunek zachodzi szeroki wolant oszyty plisą atłasową. Na fig. 82 dajemy w zmniejszeniu krój i miary draperyi złożonej z dwóch części; długi bryt a układa się szalowo z przodu. Z jednego końca sfałdowany, z drugiej strony w miejscu krzyżykami i kropkami oznaczonem, kilka razy ściśle przemarszczony, spuszcza się luźno od gwiazdki i zręcznie układa na upiętym podług znaków brycie tylnym. Kokardy z szerokiej wstążki w atłasie.

N. 3 i 22. Ubranie dla małej dziewczynki.

Podszewkę kraje się podług luźnej formy princesse, licząc w długości na dodanie fałdowanej spódniczki 20—22 cent. długiej. Zwierzchni materyał zaszywa się z przodu i z tyłu w widoczne na ryc. 3 i 22 kontrafałdy, które zeszyte są do długości baskiny, a dalej luźno pusz-

czone. Od dołu kraje się wierzch 7 cent. dłużej od podszewki, brzeg marszczy się lub fałduje, zeszywa razem z brzegiem podszewki, a zbywającą długość spuszcza się jako bufę na przyszycie spódniczki. Do materyałów w drobną kratkę, dodaje się na ubranie atłas ciemny; gruby sznur jedwabny z kwastami zastępuje pasek. Pelerynka i kapturek mogą być przypinane.



N. 4. Suknia zdobna kokardami. Krój na arkuszu N. IX, fig. 37.



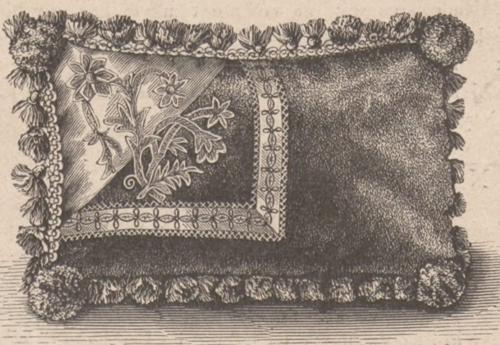
N. 7. Szlak do mebli. Aplikacya. Patrz ryc. 8.

N. 4 — 5. Dwie spódnice do sukienki. Krój draperyi tunikowej do ryc. 4 N. IX Fig. 37.

Obiedwie spódnice bez trenów, mające 180 — 200 c. dolnej szerokości, odrobione być mogą z dwojakiego materyału, to jest z gładkiego i w deseń lub paski.

Ryc. 4 przedstawia spódnicę podobnie ubraną jak do ryc. 31 w N. 20, a na fig. 37 dajemy model i miary draperyi takiej jak do ryc. 4.

Taka spódnica może także służyć do stanika bluzkowego albo z krótką baskiną; do tego ostatniego dodaje się kamizelkę, którą zarówno jak i kokardy robi się z aksamitu lub atłasu.



N. 6. Poduszka do kanapy ozdobiona haftem. Deseń i opis na arkuszu fig. 40—40a.

N. 5. Spódnica ozdobiona sznurami i kwastami.

Dolny 38 cent. szeroki garnirunek kraje się prosto, przemarszcza w połowie górnej szerokości na dwie bufy; z przodu przyszycie garnirunku przykrywa draperya do tylnego bryta dochodząca, skośnie z dwóch kawałków ułożona i krzyżująca się



N. 9. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 21 w N-rze 24.

z boku, pod którą daje się przedni bryt gładki. Tylny bryt mający 110 cent. szerokości a 80 długości z boków, 25 cent. od górnego brzega, w dwie fałdki zaszyty, ku dołowi lekko podpięty grubemi, jedwabnemi sznurami z ozdobnemi kwastami, dopełniony jest u dołu 38 cent. długim brycikiem, ułożonym w kontrafałdy i na 8 cent. pod górnym brytem, przyszytym na spódnicy. Zgrabny, stosowny stanik, zobaczyc na ryc. 45 w N. 21 Tygodnika



N. 5. Suknia zdobna sznurem z kwastami.

N. 7—8. Szlak do mebli Aplikacya na aksamicie.

Deseń wzięty ze starych wzorów XVII wieku, odznacza się zarówno łatwością roboty jak i niezwykłym układem, w którym tło z rysunkiem tak się łączy i mija, iż trudno oznaczyć co stanowi tło a co deseń. Na modelu użyty był aksamit bordo i brokatella blado-żółtego koloru, a do przyszycia aplikacyi służył sznureczek złoty. Aplikacya wycinana jest w ten sposób, że naprzemian aksamit zdaje się stanowić deseń, a brokatella tło i odwrotnie, a jednak zawsze brokatela dawana jest z wierzchu na aksamicie. Tak w tej jak i w innych tego rodzaju robotach cała trudność polega na takiem wycinaniu zwierzchniej materyi, żeby takowa zdawała się raz tło, drugi raz deseń stanowić.

N. 9 i ryc. 21 w N. 24 Tygodnika. Ubranie z vêtement.

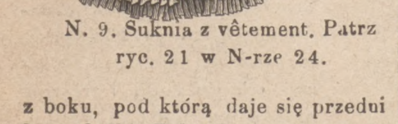
Model sukni której przód podamy w N. 24, odrobiony z satynki gładkiej i w paski. Do spódnicy z bardzo szerokiem plisowaniem dodane vêtement formą princesse. Do przodów dodany jest plastron w górze 18 cent. szeroki, do dołu spiczasto zwężony, suto przyozdobiony kokardami ze wstążki w atłasie 3 c. szerokiej, a z brzegów oszyty wązką riuszą. Boczki z jednej strony zeszyte z przodami, z drugiego boku są mocno zfałdowa-



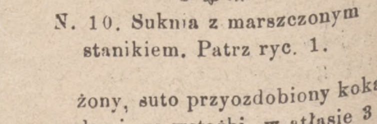
N. 10. Suknia z marszczonym stanikiem. Patrz ryc. 1.



N. 8. Szlak do mebli. Aplikacya. Patrz ryc. 7.



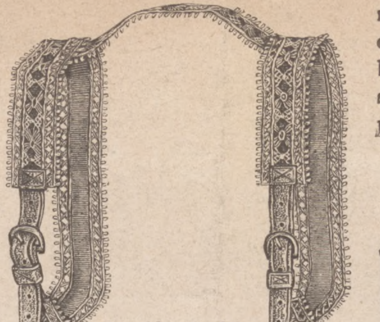
N. 11. Szlaczek krzyżykowy.



N. 12. Szlaczek krzyżykowy.



N. 13. Szew łączący szlak do kołdry, ryc. 17. Strona prawa

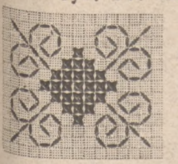


N. 19. Paski do zapięcia pledu. Patrz ryc. 20.



N. 14. Lewa strona przyszycia szlaku do kołdry ryc. 17.

ne i złączone w tyle pod szerokiem szarfowem upięciem, które układa się w sposób wskazany na ryc. 9, z długiego, prostego brycika 29 c. szerokiego, oszytego z brzegów plisą skośną 6 cent. szeroką, z materyału w paski. Upięcie przymocowane jest do baskiny pleców; tylną draperyę dopełnia bryt prosty w górze sfałdowany i od spodu do plecków przyszyty, z boków przypina się na guziczki do spódnicy.



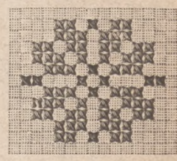
N. 29. Rzucik do ryc. 28.



N. 21. Płaszczyk z kapturkiem dla dziecka lat 2 do 4. Patrz ryc. 34. Krój na arkuszu N. XV, fig. 68—71.



N. 22. Ubranie dla małej dziewczynki. Patrz ryc. 3.



N. 30. Rzucik do ryc. 28.



N. 23. Teka. Deseń patrz fig. 36 a i c.

N. 13—18. Kołdra i poduszka podróżna.

Zobaczyć także ryc. 46 i 47 w N. 24. Haft płaski włóczką kol rową. Deseń na arkuszu z krojami fig. 85 - 86 i 88—90.



N. 26. Pokrowiec na parasol. Szlaczki patrz ryc 11—12.



N. 25. Półeczka składana do książek. Patrz ryc. 24.

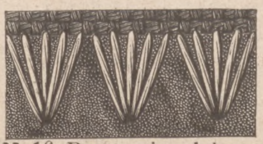
Na ryc. 17 i 18 dajemy model kołdry i poduszki, które do dłuższej podróży, zarówno w wagonie kolei jaki w hotelach, są nader wygodne i potrzebne. Na kołdrę użyty rodzaj grubej i ciepłej flaneli, której Włoszki na chustki na głowę używają; wielkość wynosi 170 c. w kwadrat. Środek z flaneli szafirowej, mającej 130 c.
szerokości, od której wązkie sz [redacted]
trzeba; szlaki 22 cent. szerokie, [redacted]
sowej. Deseń złożony z kwadrató [redacted]
na ryc. 46 i 47, wyszyty włóczką [redacted]
burską szafirową i jasno-zieloną [redacted]
są równie wyraźne w materyale [redacted]
próbce, łatwo więc wyszywać [redacted]
obliczenia. Na ryc. 45 i 47 nie [redacted]
włóczka oznaczona jest ciemniej [redacted]
zielonej. Inne stosowne desenie dajemy na fig. 88—90; sposób wyszywania górnych części do fig. 88, podajemy na ryc. 45. Ryc. 13 i 14 uczy spajania szlaków z tłem środkowem. Brzegi kołdry oszyte są wązkim szlaczkiem szydełkowym, robionym z potrójnej włóczki Hamburskiej, w kolorach tła i haftu; szlaczek stanowią pikoty z 4 powietrznych oczek i 1-go ścisłego wziętego w pierwsze pow. Pod kołdrę daje się podszewkę wełnianą lub z satynki. Poduszkę można tak jak kołdrę zrobić z flaneli albo sukna i pluszu lub skóry. Tło środkowe trzymające 24 cent. w kwadrat zdobi duża litera odrobiona haftem kolorowym z aplikacyą. Pasy brzeżne 7 cent. szerokie w rogach zakończone kwadratami na $1\frac{1}{2}$ cent. rogiem na tło zachodzącemi, założone są $\frac{1}{2}$ c. na tło i przyszyte długim ściegiem, sposobem wskazanym na ryc. 16. Kwadraty narożne wszyte ściegiem krzyżowanym, brzegi oszyte pikotami włóczkowemi, pod które w rogach poddana suta frendzla włóczkowa. Wysłanie może być z włosienia albo pierzy, spód ze skóry albo z meblowej ceraty. Na fig 85 widzimy poduszkę skórzaną, do której $\frac{1}{8}$ część deseniu dajemy na fig. 86. Na skórze muszą być wykłute podług deseniu dziurki ułatwiające robotę; na modelu kontury deseniu wyszyte były na skórze ponsowej sutażem złotym, przeszywanym kordonkiem czarnym, środki ozdobione ściegiem długim jedwabiem siodlarskim ponsowym. W środek włożona była poduszka nadymana powietrzem.



N. 15. Brzeżek do ryc. 17.



[redacted]ka do książek. Patrz ryc. 25. Krój i opis [redacted] arkuszu N. VIII, fig. 35—36c.



N. 16. Przyszycie szlaku do ryc. 18.

N. 19—20. Paski do zapięcia pledu lub kołdry podróżnej.

Paski mocne skórzane $2\frac{1}{2}$ cent. szerokie, kupione gotowe u rymarza, ozdobione są robotą wiązaną, której próbkę naturalnej wielkości dajemy na ryc. 20. Pod robotę daje się kolorową taśmę przyszytą z lewej strony do paska matowego; pasek poprzeczny 16 cent. długi, łączący rzemienie pokrywa tylko środkowa część torsady, zakończona pikotami.

N. 21 i 34. Płaszczyk z kapturkiem dla dziewczynki lat 2—4. Krój N. XV fig. 68—71.

Biały pikowy płaszczyk, miał kieszonki i rękawy ozdobione szlaczkami 4 cent szerokiemi, haftowanemi ściegiem krzyżowym, bawełną białą na szwajcarskim ponsowym perkalu z podłożeniem kanwy. Także perkal stanowi podszewkę w kapturku i wypustki. Do nawleczenia ponsowych sznurów, plecy podszyte listewką.



N. 28. Torebka z kanwy Jawa z wyszyciem krzyżykowem. Patrz ryc. 29—30.



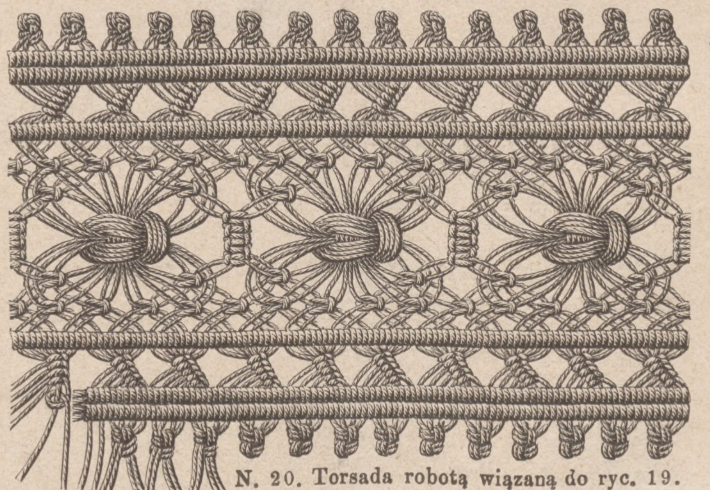
N. 31. Wszywka do sukienki ryc. 35. Wielkość naturalna.



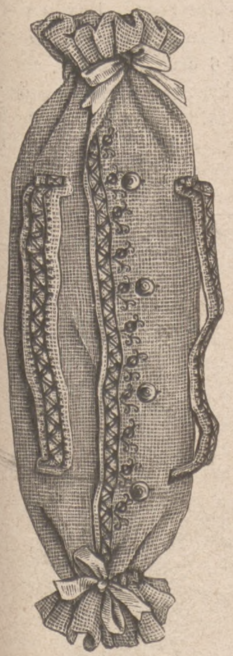
N. 32. Nesseser z przyborami do pisania. Patrz ryc. 33.

N. 23. Teka do pisania. Deseń haftu na fig 36a—c.

Teka mająca 36 cent. szerokości a 26 wysokości, zrobiona z kawałka tektury, złożonego we dwoje przez środek, wewnątrz pokrytego satynką, z wierzchu aksamitem bronzowym deseniowym, z wyszytemi po brzegach gałązkami gwoździków. W środek włożony zeszyt bibuły do wysuszania atramentu.



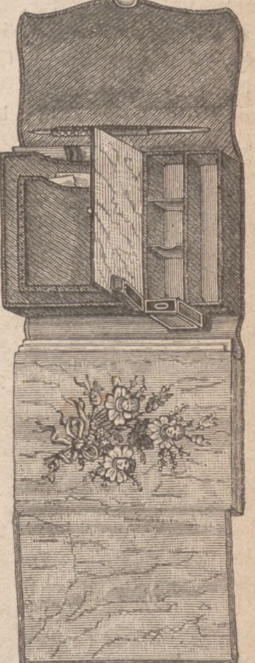
N. 20. Torsada robotą wiązaną do ryc. 19.



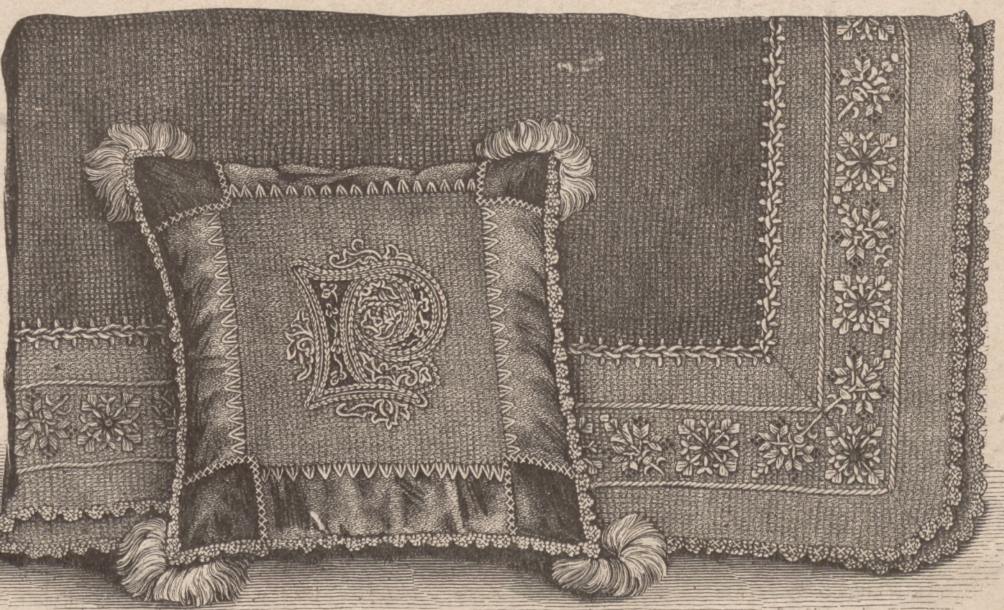
N. 27. Pokrowiec na pled.

N. 24 — 25. Półeczka składana do książek. Forma i deseń N. VIII fig. 35—36c.

Na fig. 35 dajemy połowę formy na półeczkę składaną, z oznaczonem linjami złamaniem boków i tylnej ściany. Półeczkę robi się także ze sztywnej mocnej tektury; złamania podkleja się mocną taśmą, wewnętrzną stronę półeczki i bocznych ścianek wykleja się satynką, ścianę tylną i zwierzchnie strony aksamitem wycięskanym, na którym haftowane są także gałązki gwoździków. Wstążki ponsowe w atłasie przyszyte w miejscach gwiazdką oznaczonych, do tylnej i bocznych ścianek, służą do wiązania.



N. 33. Nesseser z przyborami do pisania. Patrz ryc. 32.



N. 17—18. Kołdra i poduszka podróżna. Patrz ryc. 13—16 i ryc. 45—47 w N-rze 23.

N. 26 i ryc. 11 i 12. Pokrowiec na parasole, ozdobiony haftem krzyżowym.

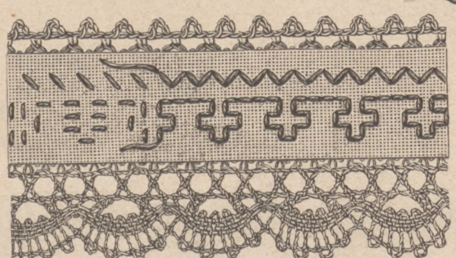
Pokrowiec na parasole robi się z płótna żaglowego, dając podług woli 2 lub 3 przeszyte przegródki; brzegi zdobią szlaczki kolorowe, następnie przyszywa się sprzączki i troki z mocnej taśmy do zapięcia zwiniętego pokrowca. Ucho 4 c. szerokie, ozdobione także haftem.



N. 34. Płaszczyk z kapturkiem. Patrz ryc. 21. Krój (lat 2-4) na arkuszu N. XV, fig. 68—71.

N. 27. Pokrowiec z płótna żaglowego, na pled albo kołdrę.

Pokrowiec robi się sposobem wskazanym na rycinie z kawałka prostego, mającego 90 c. długości a 70 szerokości. Brzegi podłużne na guziki zapinane ozdobione szlaczkami podanemi na ryc. 11 i 12 poprzeczne zakłada się podwójnie i przyszywa na falbankę i listewkę do ściągania. Uszy 40 cent. długie, $4\frac{1}{2}$ szerokie robi się z płótna podwójnego i zdobi szlaczkiem.



N. 36. Wyszycie na taśmie kanwowej.

N. 32—33. Neseser podróżny z przyborami do pisania.

Neseser z jasnej skóry z podszewką jedwabna, zamknięty ma tylko 19 cent. szerokości, 12 wysokości a $4\frac{1}{2}$ grubości, w licznych jednak przegródkach mieści wszystko co do pisania potrzebne: papier, koperty, marki, ołówek, pióra i dobrze zamknięty kałamarz. Ryc. 80 przedstawia neseser otwarty; kieszonka na papier ozdobiona jest haftem kolorowym i główkami fotografowanemi, a część dolna z wsuniętą bibułą, stanowi podkładkę do pisania. Na klapie zwierzchniej wyhaftowany monogram złotem.

N. 35—31. Sukienka dla dziewczynki lat 2-3. Krój N. III fig. 14—15.



N. 38. Chusteczka ze stojącym kołnierzem Patrz ryc. 38 w N. 23. Krój na ar. N. 16, fig. 72-73.

Nader strojna dziecinna sukienka odrobiona była ze wstawek koronkowych 3 cent. szerokich i pasków wstążki w atłasie bladożółtawej, 2 cent. szerokiej, pod spód daje się sukienkę z satynki takiego jak wstążka koloru, ogarnirowaną 4 cent. szerokiem plisowaniem z muślinu oszytego wązką koroneczką. Dół sukienki, wykrój pod szyją i krótkie rękawki oszyte szeroką koronką. Szarfa atłasowa.



N. 35. Sukieneczka wycięta. Patrz ryc. 31. Krój na arkuszu N. III, fig. 14—15.

N. 38 i ryc. 38 w N. 24. Chusteczka ze stojącym kołnierzem. Krój N. VI fig. 72 do 73.

Na fig. 72 dajemy formę trójkątnej chusteczki, odrobionej z blado-żółtej gazy i koronki 8 cent. szerokiej. Kawałek gazy 31 cent. długi, a 24 szeroki, w końcu spiczasto zwężony, przyszywa się do brzegu chusteczki prawie gładko, a przy kołnierzu układa w drobne fałdki. Formę kołnierza przykrawa się z tiulu podług fig. 73, a część zwierzchnią z gazy przeszywa się całą w bufki 2 cent. szerokie, a w górze oszywa koronką 3 cent. szeroką.

[redacted]

N. 37. Wyszycie na taśmie kanwowej.

N. 39—40. Sukienka princesse z ubraniem szarfowem, dla panienki lat 12—15.

Sukienka z przodu i z tyłu przedstawiona na ryc. 39 i 40, ma przody i plecy przemarszczane; na marszczki dodaje się przy przodach i w środku pleców potrzebną ilość materyału, któren na wcięciu w pasie przemarszcza się 6 razy, a na ramionach składa się w kontrafałdę 1 c. szeroką. Podszewkę kraje się podług gładkiej formy princesse. Bardzo zdobi sukienkę szarfa 36 cent. szeroka, skośnie ucięta z materyału w kratę, w paski lub deseniowego, złożona w 4 fałdy i przepasana nad garnirunkiem 40 cent. szerokim, a z tyłu w kilka pukli ułożona. *(d. n.)*



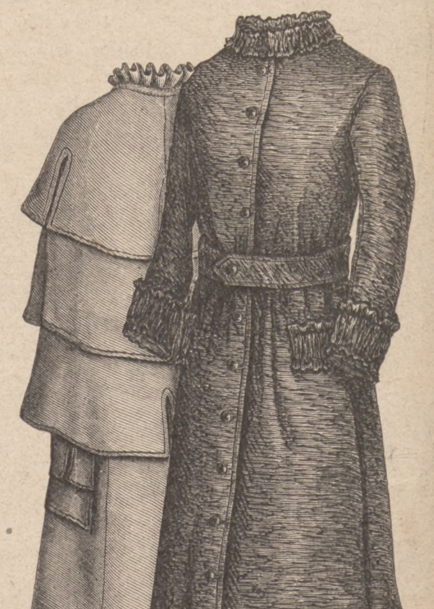
N. 39—40. Sukienka princesse z szarfą, dla panienki lat 12—15.



N. 41. Paletocik z kapturkiem. Krój na arkuszu N. IV, fig. 16 do 23.

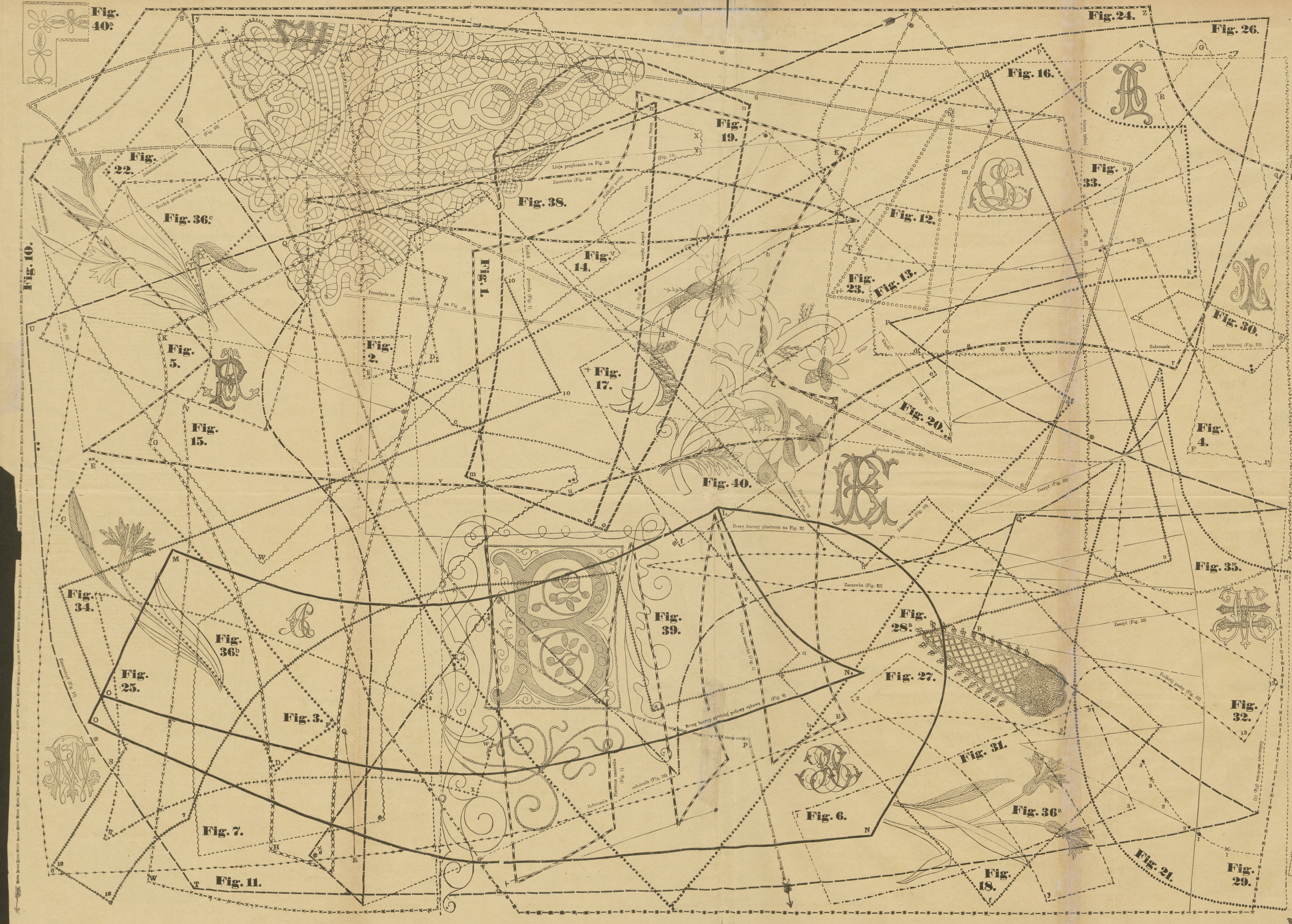
N. 42. Płaszczyk z potrójną pelerynką. Patrz ryc. 43.

N. 44. Płaszczyk formą bluzy. Patrz ryc. 45. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 64—67.



N. 43. Płaszczyk z potrójną pelerynką. Patrz ryc. 42.

N. 45. Płaszczyk formą bluzy. Patrz ryc. 44.



Tygodnik Mód

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 22 i 23.

Nr. I. Stanik krótki i tunika, do sukni ryc. 5—6 i 32—33 w Nrze 23.
Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 31 w pasie.
Fig. 1. Przód (A, B, I, K, L, ⁏)
Fig. 2. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 3. Drugi boczek (C, D, E, F)
Fig. 4. Trzeci boczek (E, F, G, H)
Fig. 5. Połowa pleców (G, H, I, K, ✲)
Fig. 6. Rękaw (L, M, N, O)
Fig. 7. Połowa kołnierza (✲, ⁏)
Fig. 8. Wskazanie kroju połowy karoczka.
Fig. 9. Wskazanie kroju draperji (*a* i *b* przód, *c* i *d* tylne bryty).

Rycina 32 i 33 przedstawiają suknię z materjału wełnianego gładkiego, w kolorze granatowym i z materjału w pasy granatowe z vieil-or. Krótki stanik, zapięty z przodu niewidocznie na haftki, u dołu zakończony wypustką z grubym sznureczkiem, dopełniony jest rodzajem oddzielnego fałdowania, idącego wzdłuż przodów, a z tyłu otaczającego wykrój szyi i dochodzącego tylko do linji prostej, oznaczonej na fig. 5. — Rycina 5 przedstawia przód stanika, na którym układ fałdowania jest dokładnie widoczny. Szeroki kołnierz fig. 7, którego przyszycie od gwiazdki do dwukropka również oznaczone linją prostą na fig. 5, dopełniony jest długiemi końcami z wstążki, związanemi z przodu w kokardę. Na rycinie 33 widać karoczko dodane z tyłu przy staniku, które fałduje się podług fig. 8. Dolny garnirunek sukni składa się z wolantu 42 cent. szerokiego z materjału w pasy, składanego w szerokie fałdy w ten sposób, iż pasy vieil-or bardzo wązko są widoczne. Fig. 9 załącza krój tuniki, składającej się z czterech brytów; na przednie bryty a i b materjał wzięty jest poprzecznie; boki ścięte skośnie są zfałdowane i przyszyte wprost do sukni. Proste, tylne bryty c i d podpinają się podług ryc. 33. Szarfa dodana z kawałka materjału w pasy 26 cent. szerokiego. Rycina 6 przedstawia stanik krótki, z szerokim wykładanym kołnierzem, odpowiedni również do sukni którą opisujemy; na szerokie fałdy wzdłuż przodów trzeba naddać materjału przy krajaniu.

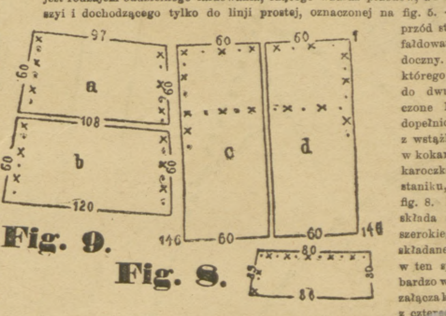


Fig. 9. Fig. 8.

Nr. II. Płaszczyk podróżny. Rycina 2 w Nrze 22 i ryc. 30 w Nrze 23.
Fig. 10. Przód (P, Q, S, T, •, +)
Fig. 11. Połowa pleców wraz z rękawem (P, Q, R, S, T, U, ✲, ⁏) 1 założenie
Fig. 12. Połowa paska do kołnierzyka (T, U)
Fig. 13. Klapka do kieszeni (•, +)
Fig. 10a—13a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 10—13.

Model, który opisujemy, był z bronzowego szewjotu przerabianego kolorowemi nitkami; zaś atłas w pasy (satin merveilleux) użyty był na szarfę złożoną podwójnie, 14 cent. szeroką; na garnirowanie przy szyi i u rękawów; guziki wielkie rogowe. Przody i plecy dopełniają się na długość i szerokość podług miar wskazanych na zmniejszonym formacie kroju. Szerokie rękawy krają się wraz z plecami, zachodzącemi od S do T na przody; rękaw układa się pasując do siebie literami R do R i Q do Q; boczny zaś brzeg spodniej połowy rękawa przyszyty do przodów od P do Q. W odstępie 6 cent. od brzegu przedniego rękaw podszyty skosem atłasowym przemarszcza się do 60 cent., zaczynając o 28 cent. poniżej wykroju szyi. Plecy na ramieniu od gwiazdki do dwukropka przemarszczają się do 8 cent. szerokości; dla mocy podszywa się od spodu kawałek podszewki. W wązki pasek fig. 12 wszyta jest kolorowa kreza, 5 cent. szeroka; plecy u dołu niezszywają się na 30 cent. wzdłuż. Na fig. 11a oznaczone są miejsca, u których wpuszcza się i wszywa brzegi szarfi. Kieszeń dodaje się od punktu do krzyżyka.

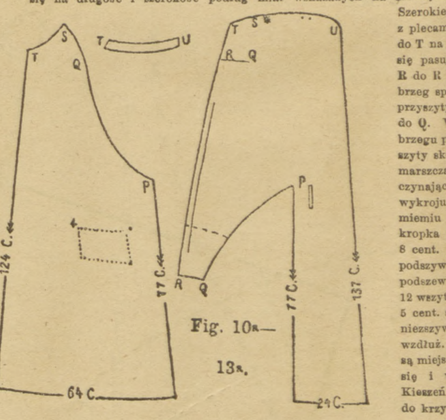


Fig. 10a—13a.

Nr. III. Sukieneczka wycięta, dla dziecka lat 1—3. Rycina 35 w Nrze 22.
Fig. 14. Połowa przodu (V, W, X, Y)
Fig. 15. Połowa pleców (V, W, X, Y)

Nr. IV. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 3—5. Rycina 41 w Nrze 22.
Fig. 16. Przód (a, b, i, k, l, p, •)
Fig. 17. Boczek (a, b, c, d, e, f, +)
Fig. 18. Połowa pleców (c, d, e, f, g, h, i, k)
Fig. 19. Rękaw (l, m, n, o)
Fig. 20. Mankiet (m, o, ✲, ⁏)
Fig. 21. Połowa kapturka (g, p, ✕ 1 i • 1 do ✕ 3 i • 3)
Fig. 22. Kieszeń (•)
Fig. 23. Klapka (b, +)

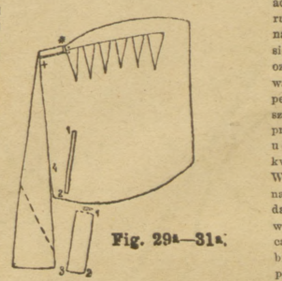
Nr. V. Okrycie z fałdowaną chusteczką dla młodej osoby. Rycina 29 w Nrze 23.
Fig. 24. Przód (q, r, s, t, u, v, z, ✲) 1 założenie
Fig. 25. Boczek (t, u, w, x)
Fig. 26. Plecy wraz z połową chusteczki (q, r, s, v, w, x, y, ✲, ✕ 4 i • 4 do ✕ 6 i • 6) 1 założenie
Fig. 27. Połowa stojącego kołnierzyka (y, z)
Fig. 24a—27a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 24—27.
Fig. 28. Plecy okrycie.
Fig. 28a. Deseń.


Fig. 24a—27a.


Fig. 28.

Rycina 29 w Nrze 23 i Fig. 28 przedstawia okrycie, lekko wpadające do figury przez zaszewkę daną w przodach i krótki szew od w do x na środku pleców. Plecy od szwu na ramionach (od s), przedłużone w rodzaj końcy tworzących z przodu pelerynkę, są przy brzegu poprzecznym zfałdowane ściśle od gwiazdki do gwiazdki i przyszyte do przodów przy brzegu przednim, składając gwiazdką do gwiazdki. Z boków, gdzie plecy schodzą się z przodami w miejscu oznaczonem literą v i z przodu na spięciu chusteczki dane są kokardy. — Okrycie to z kaszmiru dubeltowego, ma kokardy z atłasowej wstążki 5 cent. szerokiej, a przybranie stanowi frendzla podwójna 12 cent. szeroka, kręcona z gładkiej i fryzowanej szneli tudzież szlak z pasmanterji z perełkami, 10 cent. szerokiej. Fig. 28 daje deseń pasmanterji wraz z przedniem przybraniem okrycia. —

Nr. VI. Okrycie fałdowane pod szyją. Rycina 25 i 26 w Nrze 23.
Fig. 29. Połowa okrycia (1, 2, 4, ✲, ⁏, +) 1 założenie
Fig. 30. Dopełnienie krezy z przodu (✲, ⁏, +)
Fig. 31. Połowa rękawa (1, 2, 3)
Fig. 29a—31a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 29—31.


Fig. 29a—31a.

Strojne to okrycie, odrobione z czarnej jedwabnej adamaszkowej materji z kolorową podszewką i garnirunkiem z blondyny 12 cent. szerokiej. Gładkie leżenie na ramionach zależy od zaszycia szpiczasto kończących się fałdek, danych w około wykroju szyi; na formie oznaczone są linjami i słowem „zeszyć“. Materja zbywająca po zaszyciu fałd stanowi krezę pod szyją, dopełnioną z przodu oddzielnemi częściami fig. 30. Podszewka kraje się w jednej sztuce podług fig. 29; cienka prosto linja oznacza formę dodanych końcy, zebranych u dołu ścisłem zmarszczeniem i zakończonych jedwabnemi kwastami z perełkami; szarfy te dodane były z atłasu. Wązkie rękawy fig. 31 wszyte są w przecięcie oznaczone na fig. 29 od 1 do 2. Garnirunek z jedwabnej blondyny dany z przodu wachlarzowo, u dołu zaś układany w kontrafałdy i naszyty trzema rzędami. Rękawki są całe zagarnirowane koronką, a przy ręce oszyte drobniutkiem plisowaniem atłasowem. Pod szyją kokardy podług ryc. 25 i 26; od spodu do pleców podszyty pasek zapinany z przodu.

Nr. VII. Sukieneczka princesse wycięta dla dziewczynki lat 7—9. Rycina 7 w Nrze 23.
Fig. 32. Połowa przodu (5, 6, 12, 13)
Fig. 33. Boczek (5, 6, 7, 8, 9)
Fig. 34. Połowa pleców (7, 8, 9, 10, 11, 12, 13)

Nr. VIII. Składana półeczka do książek. Rycina 24—25 w Nrze 23.
Fig. 35. Połowa półeczki (✲)
Fig. 36a—36c. Deseń haftu.

Nr. IX. Tunika do sukni, rycina 4 w Nrze 22.
Fig. 37. Wskazanie kroju tuniki (*a* górna część przednia, *b* połowa przodu, *c* bryt tylny).

Desenie do ryciny 6 w Nrze 22 i ryciny 39, 42—44 w Nrze 23.
Fig. 38. Część koronki irlandzkiej, rycina 39.
Fig. 39. Połowa haftu do ryciny 42.
Fig. 40. Gałązka } do ryciny 6 w Nrze 22.
Fig. 40a. Narożnik } do ryciny 6 w Nrze 22.

Poduszka do kanapy; rycina 6 w Nrze 22.
Liczy 41 cent. długości i 29 szerokości i pokryta jest fijołkowym aksamitem; jeden róg poduszki ozdobiony oryginalnym narożnikiem, 18 cent. długim z atłasu koloru vieil-or, na który zachodzi haftowana gałązka kwiatów, wyszyta podług fig. 40. Do haftu użyta filozela dzielona po dwie nitki. Szlak otaczający wykład aksamitny przy narożniku wyszyty na blado niebieskiej wstążce atłasowej. Przy jedwabnej torsadzie otaczające poduszkę, przyczepiane są kwaściki z kolorowej włóczki crewel.

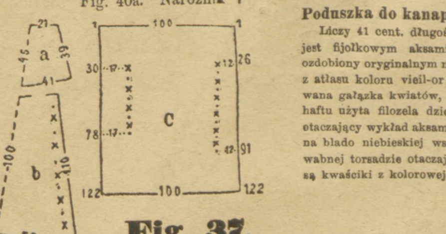
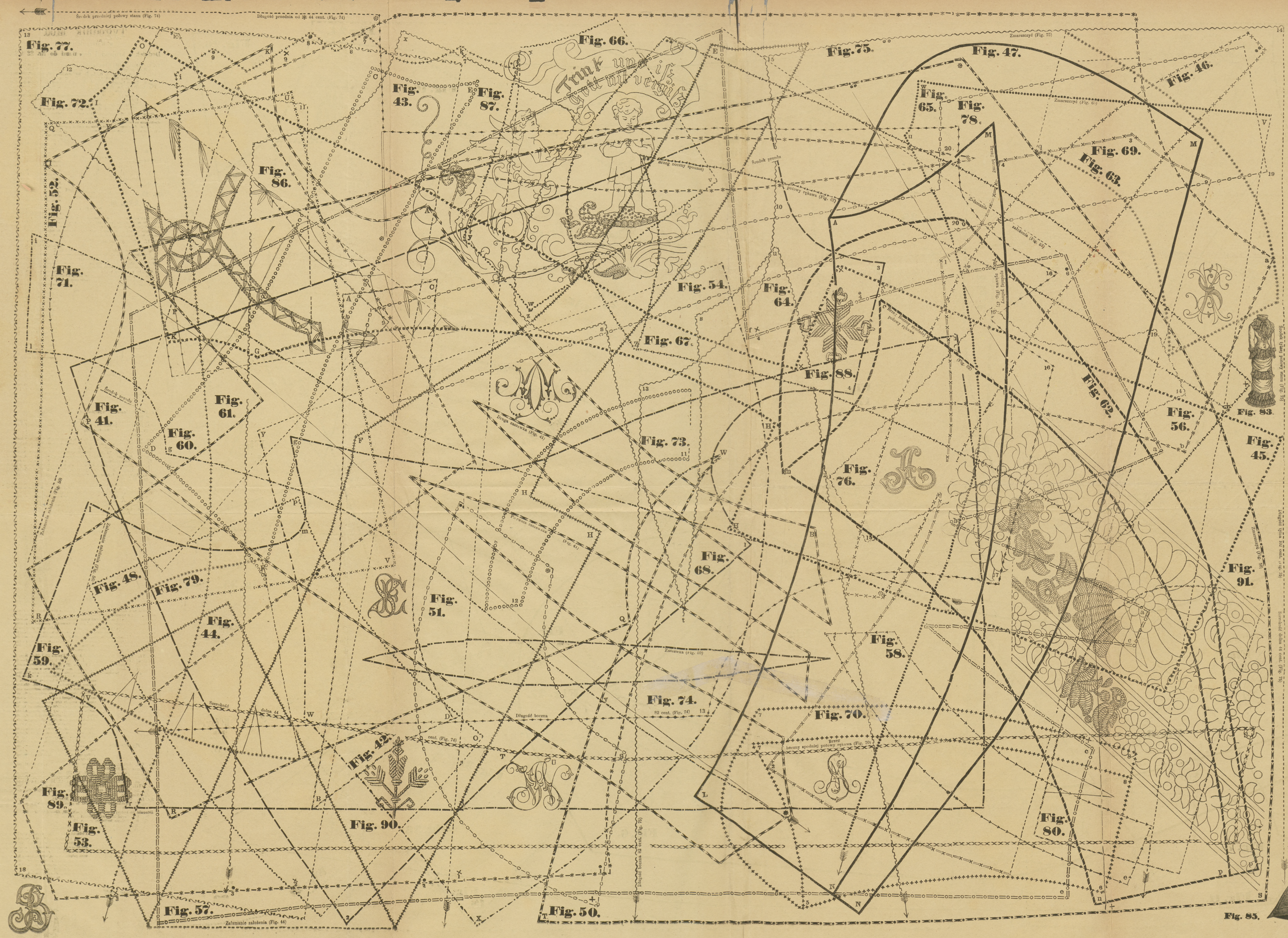


Fig. 37.





Tygodnik Mód

w Warszawie 1881 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 22 i 23.

Nr. X. Stanik i tunika do sukni, rycina 22 i 31 w Nrze 23.
Miara objętości przez połowę: 49 cent. w gorsie, 30 w pasie.
Fig. 41. Przód (A, B, I, K, P, ✻)
Fig. 42. Pierwszy boczek (A, B, C, D)
Fig. 43. Drugi boczek (C, D, E, F)
Fig. 44. Trzeci boczek (E, F, G, H, :) 1 założenie
Fig. 45. Połowa pleców (G, H, I, K, O, +)
Fig. 46. Przybranie karoczka (✻, :)
Fig. 47. Rękaw (A, L, M, N)
Fig. 48. Połowa kołnierza (O, P)
Fig. 49. Wskazanie kroju tuniki (*a* przód, *b* klin boczny, *c* bryt tylny).

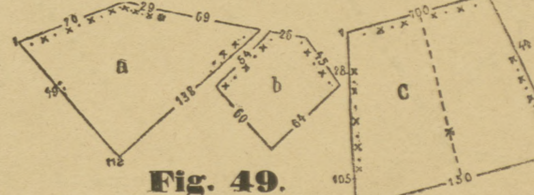


Fig. 49.

Nr. XI. Okrycie z marszczonemi przodami. Rycina 14 i 27 w Nrze 23.
Fig. 50. Przód (Q, R, S, T, W, Y, ✻, :, +) 1 założenie
Fig. 51. Karczek (S, ✻, :, +)
Fig. 52. Boczek (Q, R, T, U, V, Y)
Fig. 53. Połowa pleców (S, T, U, V, +)
Fig. 54. Połowa rękawa (W, X, Y)
Fig. 50a—54a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 50—54.
Fig. 55. Plecy okrycia.

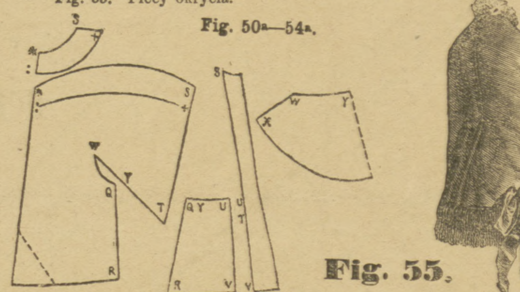


Fig. 50a—54a.

Fig. 55.

Okrycie to jest przemarszczene nie tylko w około szyi, ale i u rękawów; odrobione jest z ciężkiej materji satin merveilleux i przystrojone koronką hiszpańską 6, 10 i 15 cent. szeroką, frendzlą 24 cent. szeroką i kokardami z atłasowej wstążki 6 cent. szerokiej. Podajemy prócz kroju i zmniejszonego formatu fig. 50a—54a, jeszcze lewą stronę okrycia na rycinie 14, na której widać podszewkę w pasy i karczek podszyty pod przemarszczeniem. Przody przy brzegach przednich do dwukropka podszyte są listwą z atłasu w pasy granatowe i żółte, 12 cent. szeroką, a następnie są przy górnym brzegu, aż do linji prostej oznaczonej na fig. 50, przemarszczane w odstępach po $1^1/_2$ cent. Boczek zszywa się z przodami od Q do R; przy zszyciu z plecami przody zachodzą na boczki od T do U, a następnie składając Y do Y przyczepiają się kilkoma ściegami i po dodaniu rękawów zszywają od Y przez Q do W i od W do Y. Rękawki są w oryginalny sposób całe uszyte z koronki hiszpańskiej; przedni ich brzeg przez zmarszczenie zebrany do 30 cent., oszyty jest gładko koronką 15 cent. szeroką. Pod zmarszczenie podszywa się od spodu wąska listewka. Kokardy dodają się podług ryciny 14 i 27.

Nr. XII. Okrycie z fałdowaną pelerynką. Rycina 15 i 28 w Nrze 23.
Fig. 56. Przód (a, b, f, ✕ 1 i • 1 do ✕ 3 i • 3) 1 założenie
Fig. 57. Połowa pleców (a, b, c, d, e, f, ✕ 4 i • 4 do ✕ 6 i • 6) 1 założenie formy
Fig. 58. Połowa paska do kołnierzyka (e, f)
Fig. 56a—58a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 56—58.



Fig. 56a—58a.

Przody opatrzone zaszewkami przystają zupełnie do figury; krają się podług fig. 56 i na środku pleców zszywają z sobą za brzegi boczne i fałdują na szwie podług krzyżyków i kropek. Plecy zachodzą na przody nakształt pelerynki, zaszyte są na ramionach w dwóch miejscach a pod szyją są zfałdowane, jak to widać na rycinie 28. W pierwsze zaszewki na ramionach dące od a do b wpuszczone są i przody, które następnie przy wykroju szyi w pelerynce na 12 cent. długości zszyte są gładko a do f zfałdowane; poczem wykrój szyi wszyty w pasek załączony na fig. 58. Z tyłu na środku pleców od spodu przyszywa się pasek, zapinany z przodu, pomagający do dobrego leżenia okrycia, a zwierzchu dodana kokarda, pod którą plecy złączone są z przodami. Model okrycia był z materji satin merveilleux na podszewce z materji surah koloru vieil-or; zapięcie na haftki dane z przodu niewidocznie. Przybranie stanowi torsada, rusza koronkowa lub frendzla szmuklerska.

Nr. XIII. Vêtement dla panienki lat 10—12. Rycina 12—13 w Nrze 23.
Fig. 59. Przód (g, h, k, l, m)
Fig. 60. Boczek (g, h, i, k, l)
Fig. 61. Połowa pleców (i, k, q, ✕ 7 i • 7 do ✕ 9 i • 9)
Fig. 62. Rękaw (m, n, o, p)
Fig. 63. Połowa kołnierzyka (q, r)
Fig. 59a—63a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 59—63.

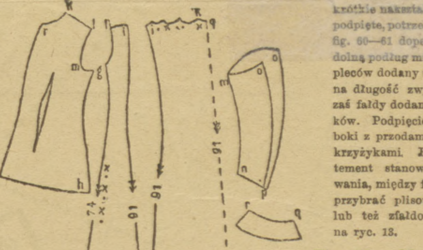


Fig. 59a—63a.

Krając vêtement z przodu zupełnie krótkie nakształt haftanika, z tyłu lekko podpięte, potrzeba przy boczkach i plecach fig. 60—61 dopełnić długość i szerokość dolną podług miar wypisanych. Środkiem pleców dodany materjał na fałdy, zaszyte na długość zwykłej baskiny; z przodu zaś fałdy dodane są z oddzielnych kawałków. Podpięcie dane na szwie łączącym boki z przodami, w miejscu oznaczonem krzyżykami. Żadne przyozdobienie [...]tement stanowi naśladowanie sznu[...]wania, między fałdami. Spódnicę mo[...] przybrać plisowaniem jak na ryc. [...] lub też zfałdować w kontrafałdy na ryc. 13.

Nr. XIV. Paletot w formie bluzy. Rycina 44—45 w Nrze 22.
Fig. 64. Przód i boczek (s, t, u, x, y, z)
Fig. 65. Połowa pleców (u, v, w)
Fig. 66. Połowa karczka (v, w, x, y)
Fig. 67. Rękaw (z, ✻, :, +)
Fig. 64a—67a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju, Fig. 64—67.

Nr. XV. Płaszczyk z kapturkiem. Rycina 21 i 34 w Nrze 22.
Fig. 68. Przód (1, 2, 3, 4, 5, 10)
Fig. 69. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 9)
Fig. 70. Rękaw (5, 6, 7, 8)
Fig. 71. Połowa kapturka (9, 10)

Nr. XVI. Chusteczka. Rycina 38 w Nrze 22 i rycina 38 w Nrze 23.
Fig. 72. Połowa chusteczki (11, 12)
Fig. 73. Połowa stojącego kołnierza (11, 12)

Nr. XVII. Koszula nocna męzka. Rycina 11 w Nrze 23.
Fig. 74. Przednia połowa stanu (13, 16, 17, 20, ✻)
Fig. 75. Tylna połowa stanu (13, 14, 15, :)
Fig. 76. Karczek (14, 15, 16, 17, 19)
Fig. 77. Połowa rękawa (13, 18)
Fig. 78. Kołnierz z krawatem (19, 20)

Nr. XVIII. Karczek do czepeczka, rycina 36 w Nrze 22.
Fig. 79. Połowa karczka

Nr. XIX. Podstawa do czepeczka, rycina 35 w Nrze 22.
Fig. 80. Połowa podstawy
Fig. 81. Zmniejszony format podstawy.

Nr. XX. Tunika do sukni, rycina 1 i 10 w Nrze 22.
Fig. 82. Wskazanie kroju tuniki (*a* przód i bok, *b* bryt tylny).
Fig. 83. **Przód sukni,** rycina 23 w Nrze 23.
Fig. 84. **Deseń do koronki,** rycina 36 w Nrze 22.
Fig. 85. **Poduszka skórzana podróżna.**

Desenie.
Fig. 86 Deseń (ósma część) na poduszkę, Fig. 85.
Fig. 87. Wyszycie do ryciny 41 w Nrze 23.
Fig. 88—90. Trzy wzory rzuciku do ryciny 17 w Nrze 22.
Fig. 91. Szlak do serwety.

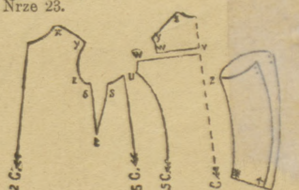


Fig. 64a—67a.

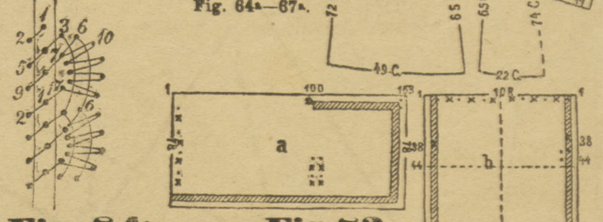


Fig. 84. Fig. 82.



Fig. 85.

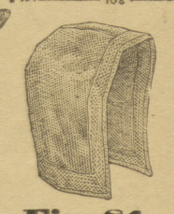


Fig. 81.